

ZIARNO.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Z dniem 20 Czerwca r. b. Redakcja i Administracja „Ziarna” przeniesione zostały na ulicę Nowy Świat Nr. 70. Telefon Nr. 27-73.

Z chwili bieżącej.

Przebieg wypadków w Turcji.

O ile dotychczas wnosić można z przebiegu spraw w Turcji, rząd tamtejszy ma szczerzy zamiar odrodzić to państwo przez nadanie mu nowego ustroju. Wydalono ze służby cały szereg nieuczciwych urzędników, którzy doprowadzili państwo sułtana do ruiny finansowej i moralnej.

Wbrew doniesieniu Petersb. Ag. tel., pisma zagraniczne zapewniają, że minister marynarki Nami-basza otrzymał dymisję, a jego miejsce zajął Halik-basza, który dowodził flotą turecką pod Samosem. Kiamil-basza będzie prezesem Rady państwa, Fehmi-basza ministrem sprawiedliwości. Wzrasta niechęć przeciw żandarmerji międzynarodowej, budzi się idea solidarności ludów wschodnich. Coraz częściej w mowach publicznych i w prasie zaznaczana bywa potęga Japonji, przebudzenie się Chin.

O obecnym jeneralnym inspektorze dla Macedonii, Hilmi-baszy, „Voss. Ztg” podaje ciekawy szczegół. Miał on przed paru dniami wysłać do Ildizkiosku telegram rzekomo treści następującej; „Wojska w Salonice przysięgły w razie potrzeby wymusić konstytucję—ja razem z nimi”. Niepopularni baszowie, przewidując bliski swój upadek i dzień sądu, usiłowali zbiedz z kraju. Ale młodo-turcy ob-

sadzili strażą dworce kolejowe. Czas jakiś nie umiano sobie w Europie wytłumaczyć niełaski, w jaką wpadł powiernik sułtana, Izzet.

Przypuszczano, że spiskował on na życie sułtana. Obecnie wyjaśniło się, że jako zwolennik starego porządku, na żądanie młodo-turków został usunięty z dworu i zesłany. Mimo to

proszono także ks. Selah-Eddina. Setkami zjeżdżają do Saloniki dowódcy band, zarówno mahometanie, jak grecy, bułgarzy, oraz ludzie innych narodowości. Najwybitniejsi działacze polityczni, zarówno z Turcji, jak ci, co zmuszeni byli mieszkać zagranicą, dążą obecnie do Saloniki, gdzie odbiera siedzibę główny komitet młodo-turecki.

Młodo-turcy ściśle przestrzegają ustaw i pilnują porządku. Mahometanin, który niedawno zamordował w Mitrowicy chrześcijanina, pod naciskiem młodo-turków został skazany na śmierć i stracony w obecności władz miejscowych i liczego tłumu.

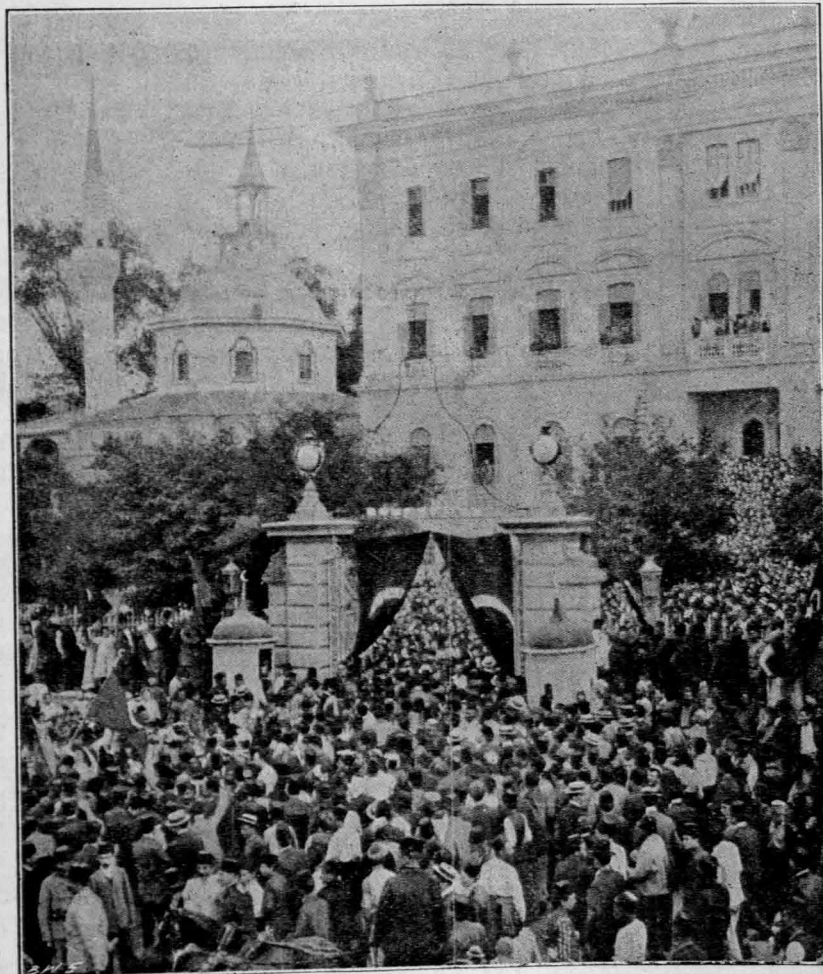
* * *

W Ildizkiosku — aż do ostatnich dni żywiono nadzieję, że ruch rewolucyjny w Macedonii da się stłumić tymi samymi środkami, jakich używano dawniej w podobnych wypadkach. Nadzieja ta opierała się na przekonaniu, że tło rozruchów jest wojskowe, a tylko ma nieznaczne polityczne zabarwienie.

Z wypadków więc w trzecim korpusie wyciągnięto przede wszystkim tę konsekwencję, że konieczna jest zmiana w naczelnem kierownictwie armii i

powołanie na to stanowisko innej osobistości. Usunięcie Rیزی-baszy było faktem postanowionym.

Jednakże wiadomości, jakie w ostatnich dniach nadeszły do Konstantynopola z wilajetu monasterskiego i z innych okolic państwa, zmusiły rząd do u-



Ogłoszenie konstytucji w Salonice: Tłum wznosi okrzyki na cześć sułtana.

niechęć ludu do Izzeta nie zmniejszyła się. Lud się obawia, by nie odzyskał on swego wpływu na sułtana.

Komitet młodo-turecki zamierza urządzić walny zjazd swego stronnictwa w Salonice. Na zjazd ten za-

świadomienia sobie, że mniemanie, jakoby był to tylko rozległy bunt wojskowy, jest niebezpiecznym ludzeniem siebie. Depesza albańska wywołała w Ildizkiosku ogromne wrażenie, i jak twierdzą korespondenci, ostatecznie skłoniła sułtana do zmiany na stanowisku wielkiego wezyra.

Sułtan powołał do siebie Saida-baszę i Kiamila-baszę, aby naradzić się z nimi nad sposobami rozwiązania trudnej sytuacji. Obaj tureccy mężowie stanu mieli podobno odrazu przedstawić, że konieczność zmiany politycznego systemu jest nieunikniona. Sułtan chciał pierwotnie powołać Kiamila-baszę na stanowisko wielkiego wezyra, ten podziękował jednak za zaszczyt, wskazując na swój sędziwy wiek, liczy bowiem lat 83. Natomiast Said-basza oświadczył gotowość objęcia rządów.

Po dłuższych naradach sułtan zgodził się przywrócić i sankcjonować konstytucję. Wiadomość o tem postanowieniu nadeszła do Salonik wieczorem tego samego dnia, w którym młodo-turcy rano proklamowali konstytucję. Wysłannik Hilmi-baszy odczytał ją w Olympos-palace setkom oficerów i tłumom ludności, zgromadzonej przed pałacem.

Zarówno w Salonice, jak w Monastyrze i innych miejscowościach wywołało ogłoszenie konstytucji niezwykły entuzjazm wśród ludności.

Konstantynopol przystroił się sztandarami, po ulicach odbywają się pochody, tłum wyprzągnął konie z powozu wielkiego wezyra i sam zawiózł go do pałacu, urządzono również owację ministrowi wojny, ministrowi spraw zagranicznych, ministrowi policji i szejkowi ul Islam. Z okazji nadania konstytucji wypuszczono na wolność więźniów politycznych z więzienia w Gałacie, co zwiększyło jeszcze sympatję ludności do władcy.

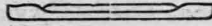
* * *

Krążące w pismach pogłoski o zamierzonej decyzji sułtana wyrzeczenia się tronu na rzecz jednego z młodszych swych synów, w petersburskich kołach dyplomatycznych uważane są za pozbawione podstawy. W kwestji następstwa tronu w Turcji, korespondent „Russk. St.” rozmawiał z przedstawicielem dyplomacji rosyjskiej, przez czas dłuższy zamieszującym w Turcji.

Według słów tego ostatniego, sułtan rzeczywiście miał zamiar zamianować swym następcą młodszego syna Burchada-effendi, lecz w tym celu musi on znieść istniejące w Turcji prawo o następstwie, na mocy

którego władza przechodzi nie na starszego syna panującego sułtana, lecz na starszego w rodzie.

W obecnym czasie takim następcą jest generał książę Beszat-efendi, syn sułtana Murada V, starszy brat Abdul-Hamida, urodzony w roku 44. Zgodnie z istniejącymi prawami tureckimi, jest on istotnym następcą tronu. Żeby zaś zmienić istniejący w Turcji porządek dziedziczenia tronu, Abdul-Hamid zmuszony będzie wydać nowe prawo, i o ile utrzyma się w Turcji wprowadzony obecnie ustrój konstytucyjny, to w takim razie nowe prawo będzie musiało przejść przez parlament.



Z PRASY POLSKIEJ.

Na szerszy gościniec.

Redaktor „Kurjera Litewskiego” p. W. Baranowski wystąpił w swym organie z szeregiem artykułów „Po zjeździe”, w których bardzo trafnie ocenia następstwa zjazdu słowiańskiego w Pradze. Uwagi swoje kończy p. B. następującym horoskopem:

„Na widownię rosyjskiego życia państwowego niedługo już wystąpić muszą działacze społeczni, politycy europejscy i rządcy, liczący się z wolą ludu. Wstecz Rosja już nie pójdzie—to mrzonki; musi więc iść ciągle naprzód, ku własnemu zdrowiu lub zginąć. Że prześladowanie polaków jest państwa Rosyjskiego ciężką chorobą—rozumie to już rosjan wielu. Ilość ich Zjazd praski powiększy. Złożone na nim wyznania są niby kamień w staw rzucony—podjęły fale, która iść będzie coraz dalej, dalej...”

Słusznie zwrócono uwagę, iż my, polacy, zbyt długo żyliśmy w odosobnieniu, zasklepieni w swych bólach tylko i cali walką codzienną o egzystencję narodową zajęci. Przy pierwszych powiewach lepszych trzeba było raz wyjść z tego stanu, który nie mógł być wieczystym. W grupie narodów słowiańskich czekało na nas dawno zaszczytne, a nie zajęte miejsce. Obecnie obejmujemy je w posiadanie poniekąd, opierając się o słowiańszczyznę całą, licząc się z nią, solidaryzując... Gotowiśmy wziąć od niej wszystko, co nam dać może, ale wzamian sami na bieg jej spraw pewne zyskujemy wpływy. Od zjazdu praskiego głos Polski

więcej niewątpliwie zaważy wśród słowian, skwapliwiej sięgną też oni, niż dotąd i do skarbnicy jej ducha. To da nam bezwątpienia zyski moralne, a zaś zyski moralne bez wpływu na losy polityczne nie bywają nigdy. Im bardziej cenić nas będzie Słowiańszczyzna cała, tem mniej lekceważyć w dalszym ciągu ośmielią się nawet reakcyjniści rosyjscy.

Duchowe zbliżenie do reszty słowian rozszerzy nasz horyzont praktycznie—zmusi do wzięcia tego i owego od kultury choćby czeskiej, posiadającej cechy, brakujące naszej. W tym kierunku zjazd praski zainaugurował nowy okres bez żadnej wątpliwości, wyprowadzając myśl naszą na szerszy i widniejszy gościniec“.

W Złotej Pradze.

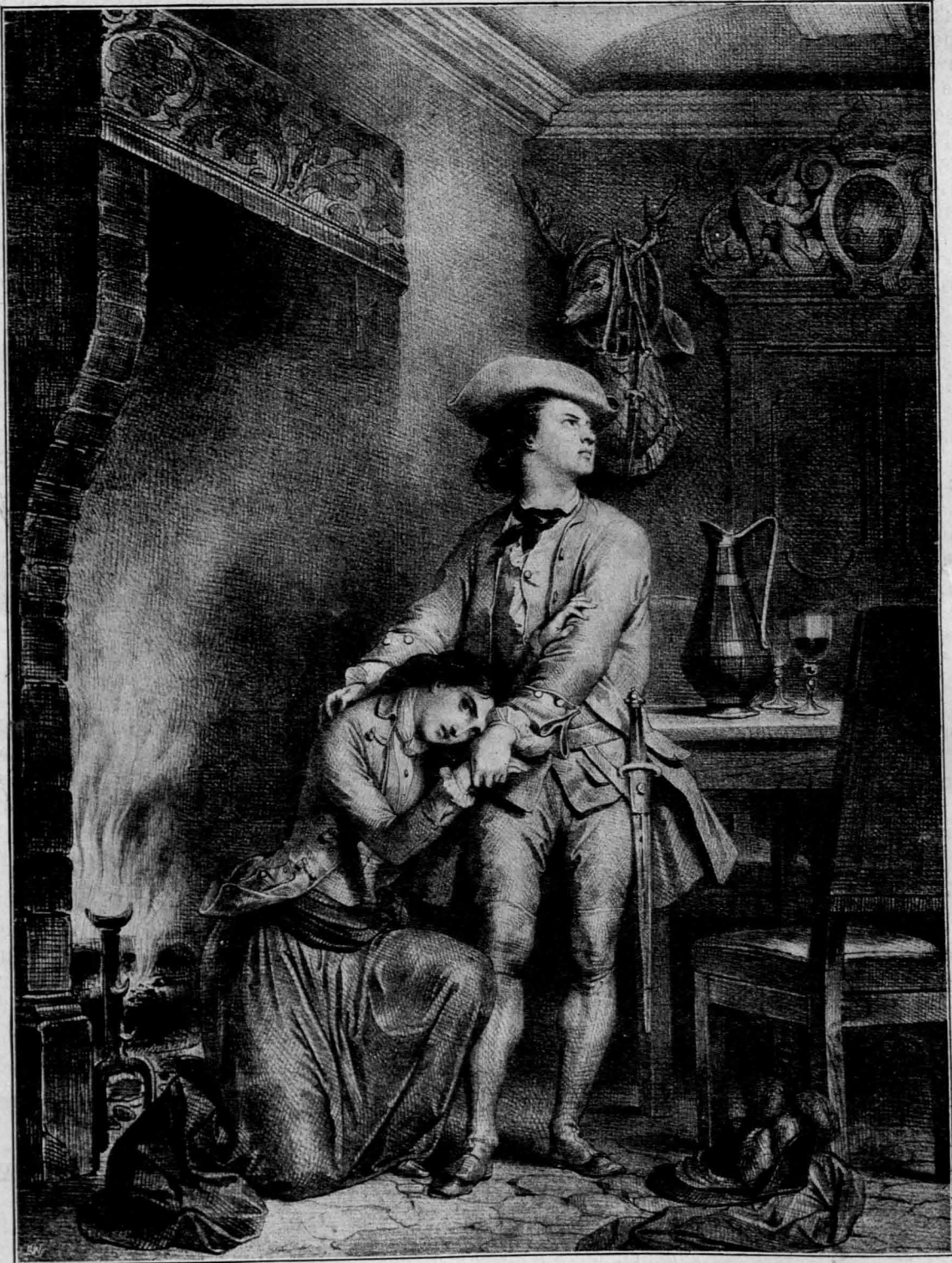
Ze szczególną sympatją witany jest dziś w Pradze czeskiej każdy polak.

„Jest to sympatja — jak określa praski korespondent „Kraju“ — wręcz wzruszająca, a tak powszechna, że dźwięk mowy polskiej poręcza z góry najlepsze przyjęcie i serdeczną we wszystkim pomoc. Każdy szwajcar hotelowy, każdy postugacz, sklepikarz, czy nawet obdarty proletariusz na ulicy wita polaka tak serdecznie, jak ukształcony mieszczanin lub szlachcic.

Na takie usposobienie natrafiła tu prowadzona przez Zdzisławę księcia Lubomirskiego wycieczka warszawska. Najsympatyczniej uderza Czechów sam skład wycieczki: magnaci polscy razem z kupcami i przemysłowcami. Czesi znają historję polską nie gorzej od nas samych. Nazwiska Lubomirskich, Radziwiłłów i Zamoykskich przemawiają do nich językiem wieków — jednak przywykli oni z temi nazwiskami łączyć i smutne epizody naszej historji, i wyobrażenie buty, i zuchwalstwa dawnych naszych królewiat. Dziś widzą, że potomkowie owych rodów zdemokratyzowali się w najlepszym słowa znaczeniu, że duch konstytucji trzeciego maja po stu przeszło latach w czyn się wcielił i wszystkie stany i warstwy naszego narodu, złączone wspólną miłością ojczyzny, zrównały się w pracy około jej dobra i jej przyszłości. Widzą i trochę nam nawet zazdroszczą — bo takiej mowy, jaką wypowiedział tu książę Lubomirski, nie słyszeli jeszcze z ust żadnego Szwarcenberga, Deyma lub nawet Harracha...”

ZIARNO

EUGENIUSZ DEVERIA.



ODNALEZIONA. — (Scena z czasów Napoleona).

Kultura słowiańska a nasza.

Zakończony niedawno zjazd słowiański w Pradze uznał za podstawę zbliżenia wszystkich szczepów słowiańskich cele wyłącznie kulturalne, pomijając wszystkie kwestje polityczne, jakie rozdzielały słowian wewnątrznie. Nie mógł wszakże pominąć kwestji stosunków polsko-rosyjskich, bo w niej właśnie kulturalne dążenia narodu polskiego tak dalece zostały skrępowane przez krótkowidzącą zaciętość polityczną biurokracji rosyjskiej, że o kulturze polskiej niepodobniestwem jest mówić bez dotknięcia tych warunków politycznych, w które wtłoczony jest jej rozwój.

Po wzajemnych wyjaśnieniach delegatów polskich i rosyjskich, ci ostatni przez wniosek delegata Krassowskiego zaproponowali na ostatniem posiedzeniu zjazdu, znaną uchwałę stwierdzającą zupełną równość naszych praw narodowych i kulturalnych wobec narodu rosyjskiego.

Uchwała, jak wiadomo, była jednonyślnie przez członków zjazdu przyjęta z oznakami szczerego entuzjazmu. Przez tę uchwałę otwartą została dla nas droga i możność czynnego współdziałania w dalszych pracach kulturalnych, zainicjowanych w celu zjednoczenia słowian, zwłaszcza, że te działania przedsiębrane być mają na zasadach wolności, równości i braterstwa. Dotychczas nie mamy żadnego powodu wątpić, że tak będzie. Wszystko bowiem, co się stało, zdaje się zapowiadać, że idea solidarności słowiańskiej raz wprowadzona w życie i oparta na podstawach, wyłączających czyjekolwiek pretensje do supremacji w imię przewagi politycznej jednego narodu nad drugim, — tak postawiona idea ma wielką przyszłość przed sobą i może zaznaczyć się doniosłymi skutkami dla wszystkich ludów słowiańskich.

My w szczególności nie spodziewamy się bynajmniej bezpośrednich skutków „historycznego dnia“ w urzędzeniu naszych spraw społecznych i narodowych, ale bezwarunkowo jesteśmy przekonani, że sprowadzi je stopniowo sam postęp ewolucji myśli politycznej narodu rosyjskiego pod wpływem wrażeń i zobowiązań przyjętych w Pradze. Jest rzeczą nie małej wagi, że sytuacja stosunków polsko-rosyjskich, wytworzona przez uchwałę, o której mowa i przez inne okoliczności na zjeździe została bardzo trafnie oceniona przez liberalną część społeczeństwa rosyjskiego. Dowodzi tego między innymi znakomity artykuł dziennika „Russkoje Slovo“, zaznaczający, że w osobach pp. Krassowskiego i hr. Bobrińskiego całe stronnictwo centrowe Dumy, które ich na zjazd delegowało, zobowiązało się do popierania względem Polski polityki sprawiedliwości i zadośćuczynienia.

Tak więc możemy z pewną otuchą myśleć o dalszym rozwoju solidarności słowiańskiej i o korzyst-

nym wpływie porozumienia praskiego na nasze stosunki miejscowe. Możemy przyjąć czynną rolę w sprawach wspólnej pracy kulturalnej wszystkich słowian, zachowując nieetykalność naszego własnego stanowiska w dziedzinie kultury, zdobytego wiekowymi trudami historii polskiej.

Mówiono z początku szeroko o wielkich i stanowczych różnicach kulturalnych pomiędzy rozmaitymi ludami słowiańskimi i wnioskowano stąd o przeszkodach, stojących jakoby na drodze do zbliżenia między słowianami. Lecz sam przebieg zjazdu rozchwiał już te przewidywania. Zresztą samo nawet cokolwiek głębsze zastanowienie się nad kwestją wystarczyłoby w zupełności do odparcia tych przedwczesnych a nieuzasadnionych zarzutów.

Kultura w naszym świecie jest tylko jedna, ta, która się rozpoczęła nad brzegami Gangesu i Nilu, rozwinęła do najszerszych wyżyn za sprawą geniusza greków i skonsolidowała w szpiżowych formach urzędzeń i dzieł starożytnej Romy. Ta kultura odżywna z letargu przez Renaissance 14-go i 15-go wieku jest matką cywilizacji nowożytnej, jest pochodnią przyświecającą postępowi współczesnemu na wszystkich polach umysłowości i uspołecznienia ludzkiego.

Im wcześniej i obficiej narody europejskie zdolały wchłonąć w siebie pierwiastki kultury rzymskiej i romańskiej, tem wyżej stanęły na skali udoskonalenia duchowego i społecznego. Narody słowiańskie skorzystały z niej trochę później niż romańskie i germańskie. Niektóre z nich musiały skutkiem warunków politycznego położenia swego poprzestawać na rodzinnej kulturze słowiańskiej, to jest na żadnej, bo słowiańskiej kultury właściwie niema. Rosja do czasów Piotra W. była nieprzystępna dla wpływów kultury zachodniej. Od tej epoki pojęcia rosyjskie i historia sama narodu wstąpiły w inną fazę, wyższą, cywilizacyjną. Byzantyńskie idee, będące wypaczeniem i upośledzeniem kultury rzymskiej, zachowały przeważnie w Rosji i w całej Słowiańszczyźnie wschodniej wpływ bezwarunkowy aż do początków XVIII w. Dziś widzimy wszędzie silny prąd w kierunku jak najszerszego korzystania z owoców jedynej kultury powszechnej. Na tej drodze pewne narody słowiańskie pozostały cokolwiek w tyle za nami, czesi zaś wyprzedzili nas w niektórych kierunkach. Naszą zatem jest rzeczą wyciągnąć i przyswoić sobie zdobycze osiągnięte gdzieindziej, a zarazem przyczynić się do rozprzestrzeniania kultury tam, gdzie nie zdołała jeszcze przeniknąć.

Te prace, które rozpoczynamy pod hasłem zbratania się słowian, wytworzą w nich bezwątpienia tę siłę, jaka potrzebna jest całej Słowiańszczyźnie, a w szczególności nam, polakom, do zabezpieczenia trwałego rozwoju narodowego.

St. Pyrowicz.

Ze stolicy świata.

Paryż latem.

Paryż — stolica świata — jest też ciągle stolicą świata wiedzy. Tutaj wszak jest od wieków ognisko uczonych badaczy, którzy w tutajszych gabinetach i laboratorjach od-

bywają najdonioślejsze w następstwach doświadczenia dla szczęścia ludzkości. W Paryżu też jest centrum postępu walki z gruźlicą, o czem chcemy tu szerzej pomówić na podstawie najświeższych wyników.

Do najstarożytniejszych chorób, jak wiadomo, należy gruźlica. Wieki całe prześladowała ona ludzkość, niszc-

ząc tysiące istnień, kosząc zarówno młodych jak starych i dzieci; — całe rodziny i całe pokolenia niosą ofiary temu straszному molochowi, z którym dotychczasowa walka była zupełnie bezużyteczną.

Poznano bowiem gruźlicę bardzo dawno, ale przyczyny właściwej choroby długi czas pozostawały

niewyjaśnione. Wiek dopiero 19-ty poszczycić się może tą zdobyczą naukową. W r. 1882 sławny bakterjolog niemiecki, Robert Koch, zdołał wykryć wywołujące chorobę drobnoustroje, które otrzymały nazwę laseczników gruźlicy.

Myślano początkowo, że laseczniki te wywołują tylko gruźlicę płuc, tymczasem dalsze badania dowiodły, że powodują one wiele innych chorób, jak n. p. niektóre zapalenia stawów, tocznia skóry i t. d. Tym sposobem uwyraźniło się pokrewieństwo licznych cierpień, które dawniej uważane były za zupełnie odzielne.

Wiekopomne odkrycie Kocha zaczyna nowy okres w dziejach badań nad gruźlicą, a główne punkta, około których toczyły się wysiłki uczonych, są: wczesne rozpoznanie choroby i sposób skutecznego jej leczenia. Najslawniejsi uczeni w tym kierunku orzekli już dawno, że nie istnieją specjalne na gruźlicę lekarstwa, że żaden lekarz specjalista nie powinien żadnych leków zapisywać na gruźlicę; metoda leczenia gruźlicy lekarstwami upadła więc zupełnie. Zwrócono się natomiast do innej zupełnie metody, mianowicie higieniczno-dyetycznej, i to głównie w sanatorjach.

Niedługo jednak wystarczyła ta, wielkiem uznaniem ciesząca się, metoda. W miarę dalszych, nowych badań i nowych pojęć o odpornieniu ustroju na zarazki i ich trucizny (toksyny) zaczęto szukać nowych dróg i nowych środków.

Pierwszym, który wtedy popełnił na nowe tory sprawę gruźlicą, był znowu Koch. On jest bowiem twórcą tuberkuliny, płynu przedstawiającego wyciąg z bakterji gruźliczych. Otrzymuje ją w następujący mniej więcej sposób: Hodowlę laseczników gruźliczych w bulionie z gliceryną stawia na łaźnię wodną. Płyn ten paruje, a skoro objętość jego zmniejszy się do $\frac{1}{10}$ pierwotnej zawartości, ochładza go i następnie filtruje przez odpowiedni filtr, noszący nazwę świeczki Chamberlanda. Filtr ten ma tę własność, że przepuszcza sam tylko płyn, laseczniki zaś same pozostają. Ten płyn właśnie bez zarazków, a posiadający tylko pewne, wylugowane, martwe cząstki i produkty bakterji, jest ową sławną tuberkuliną Kocha.

Posiada ona pewną ilość substancji zmartwiającej, wskutek czego przyspiesza obumieranie dokoła ognisk gruźliczych, a temsamem czyni niemożliwym rozwój laseczników

na tak niepodatnym gruncie, a ułatwia wydalanie obumarłej tkanki.

Działanie jej na ustrój dotknięty gruźlicą, jak sam mówi Koch, przewyższa znacznie działanie wszystkich dotąd znanych, najsilniejszych środków leczniczych. Leczenie za pomocą tuberkuliny odbywa się przez wstrzykiwanie podskórne słabego roztworu płynu.

Jak wszystko na świecie ma i ten sposób leczenia suchot swoich gorących zwolenników zarówno jak i przeciwników wśród najslawniejszych powag lekarskich.

Drugim punktem zabiegów uczonych jest wczesne rozpoznanie choroby, a kto wie czy nie trudniejsze to od samego leczenia. Wybadać rozległe zmiany gruźlicze w płucach, rozpoznać gruźlicę skóry — nie należy do trudności. Wiadomo jednak, że często dopiero sekcja przekonuje o istnieniu jakiegoś utajonego ogniska gruźliczego, co za życia było nieznanem. Wiadomo również, że właśnie w stadiach początkowych, kiedy zmiany chorobowe nie są wielkie, a organizm posiada jeszcze wiele sił żywotnych, cierpienie to rokuje największą nadzieję wyleczenia. Dlatego najważniejszą rzeczą było wyszukanie sposobu, któryby pozwalał wczesnie rozpoznać zaledwie rozwijającą się chorobę. Długo wysilano się bez skutku aż wreszcie niedawno, bo zaledwie przed paru tygodniami udało się to prawie równocześnie trzem uczonym: Wolff-Eisner, Calmette i Pirquet.

Znaną już dawno było rzeczą, że po wstrzyknięciu niewielkiej ilości rozcieńczonej tuberkuliny Kocha pod skórę, inaczej zachowuje się organizm zdrowy, a inaczej dotknięty gruźlicą. U większej części ludzi zdrowych występują lekkie bóle w członkach, szybko przemijające niedomaganie, dreszcze, ciepłota podnosi się do 38° . Ta sama dawka u dotkniętych gruźlicą wywołuje podniesienie temperatury do 40° , czasem 41° , ból w członkach, kaszel, często wymioty, wysypkę i t. p. zaburzenie takie trwa zazwyczaj kilkanaście godzin. Ponieważ objawy te występowały regularnie przy jakiegokolwiek sprawie gruźliczej w w ustroju, naprowadziło to Kocha na wniosek, że tuberkulina jest niezbędnym środkiem rozpoznawczym. Objawy jednak reakcji ustroju dotkniętego gruźlicą na wstrzykiwanie podskórne tuberkuliny okazały się tak dotkliwe, że dziś bardzo niewielu lekarzy używa tego środ-

ka dla celów rozpoznawczych u ludzi.

Metody tej używa się dziś jedynie, ale też powszechnie dla rozpoznawania gruźlicy (perlicy) u bydła.

Liczne badania dowiodły, że po wstrzykiwaniu podskórnem tuberkuliny u zwierząt dotkniętych perlicą, temperatura się podnosi, podczas gdy u zdrowych zwierząt przechodzi to bez żadnych skutków. Metoda ta więc okazała się niedo- brą w leczeniu gruźlicy u ludzi.

Pirquet posługuje się w rozpoznawaniu gruźlicy następującą metodą: Za pomocą nożyka nacina delikatnie skórę ramienia (podobnie jak się to czyni przy szczepieniu ospy), a następnie na to miejsce upuszcza kroplę rozcieńczonej tuberkuliny. W przeważnej ilości wypadków zdrowy ustrój nie oddziaływa na podobny zabieg. Natomiast u organizmu dotkniętego gruźlicą występuje po 24 godzinach w miejscu szczepienia guzek, wokoło którego skóra wykazuje lekkie zaczerwienienie. Równocześnie z tem pacjent odczuwa w tem miejscu lekki ból i świąd. Jednakże już po kilku dniach guzek ten zanika, skóra w miejscu guzka się złuszcza, pozostawiając nieco ciemnej zabarwioną plamkę. Metoda ta zatem, jak wynika z opisu, jest o wiele łagodniejszą, aniżeli wstrzykiwania podskórne tuberkuliny. Nosi ona miano „odeczynu skórno-ego“.

Współcześnie z odkryciem Pirquet'a ogłosili i dwaj inni wyżej wymienieni badacze Wolff-Eisner i Calmette, prawie równocześnie, wynik swych badań nad tak zwanym „odeczynem ocznym“ w gruźlicy. Sposób ten polega na wkropleniu bardzo słabego roztworu tuberkuliny Kocha do worka spojówkowego. U ludzi zdrowych zabieg taki nie wywołuje żadnych objawów. Oko, które zakroplono (bo zawsze jedno tylko zakraplamy) zachowuje się zupełnie podobnie, jak niezakroplone. Inaczej przedstawia się sprawa z ustrojem dotkniętym gruźlicą. W 12, a czasem już w 8 godzin po zakropleniu oko przedstawia obraz miernego zapalenia spojówki. Brzegi powiek zlepione są wydzieloną śluzową, a sama spojówka jest czerwona z powodu przekrwienia. Zmiany te przechodzą bez pozostawienia śladów po upływie 48 do 27 godzin.

Zarówno zatem odczyn oczny, jak i odczyn skórny należą do

stosunkowo łagodnych zabiegów i znalazły w praktyce rozległe zastosowanie. W kilku miesiącach, które upłynęły od chwili odkryć Pirqueta, Eisnera i Calmette'a ogło-

szone już setki spostrzeżeń nad temi metodami, z których przeważna ilość sposoby te chwali i zaleca. Nie brak jednakże i przeciwników. Rozważywszy wyniki tych spostrze-

żeń, dochodzi się do wniosku, że ludzkość zyskała nowego sprzymierzeńca w walce z gruźlicą, oby się tylko na nim nie zawiodła.

L. S.

WILHELM DASSE.

Pamiętnik myśliwego.

TRZY LATA W MOZAMBIKU.

(Ciąg dalszy).

II.

Wyprawa do Busi.

Sposób podróżowania. — Nowe krajobrazy. — Antylopy. — Nowe gatunki afrykanek. — Ruiny Chirumby. — Rybołówstwo z dynamitem. — Żbik. — Kukułka. — Wzdłuż rzeki Towy. — Nocny napad. — Hyena centkowana. — Jezioro Nyakanga. — Oryginalny gatunek gęsi. — Z Mudy do Guengere.

27 maja 1905 r. po wysłaniu do Muzeum powtórnej kolekcji, większych zaś bagażów do Guengere, i po czułych pożegnaniach z naszymi przyjaciółmi, wyruszyliśmy z Massikesse w stronę Busi. Trzydziestu murzynów towarzyszyło nam w tej podróży. 22 niosło nasze paki wagi ogólnej 25 kilo, pozostali zaś służyli za *machillorów* (nazwa, nadana im od rodzaju hamaka, przezwanego *machilla* a zawieszono na grubych kijach bambusowych). Po dwóch czarnych z każdej strony trzymając *machilla* na ramionach biegną truchtem, rytmicznym i łagodnym tym ruchem kołysząc podróżnika, wypoczywającego po trudach podróży. Cztery pozostali, służąc jako rezerwa, idą za nimi w tyle. W ten sposób droga moja żona przebyła wszystkie większe przestrzenie.

Szybkość takiej komunikacji wynosi 6—7 kilometrów na godzinę. Poznałem paru dowódców portugalskich, którzy przebywali w ten sposób 70 kilometrów dziennie. O ile jednak zależy komu na poznaniu kraju, o wiele lepiej uczyni, podróżując piechotą.

Pochód otwiera *machilla*, za nią postępują tragarze, a ja z karabinem, przewieszonym przez plecy, z kijem podróżniczym w rękę, pochód ten zamykam. Jeżeli w czasie drogi wypadło nam zanoć w wiosce, przekonaliśmy się z własnego doświadczenia, że o wiele lepiej prosić jest o małą izdebkę, w której rozkładaliśmy nasze łóżka, aniżeli rozpinać namiot, przy składaniu którego, nazajutrz rano traci się tylko czas niepotrzebnie.

Natychmiast po przybyciu do miejsca, wyznaczono-

nego na popas, tragarze składają swe ciężary, i pod przewodnictwem kucharza i t. zw. muleków*) pomagają w rozpostarciu namiotu, podczas gdy drudzy udają się na poszukiwanie drzewa i wody, poczem w mojej obecności następuje rozdawnictwo porcji mąki. Posiłek skończony, służba myje i pakuje z powrotem naczynia kuchenne. W czasie takiego wypoczynku pośrodku wrzosieni, rozdają najzdolniejszym ludziom 3 sztuki broni, dla odparcia możliwej napaści dzikiego zwierza. Sam również po starannem oczyszczeniu broni, ładuję swe strzelby śrótem i ustawiam w kozły, aby w razie potrzeby mieć je na pogotowiu. Żona moja, jak również ja sam, śpiemy ubrani, zadawalając się tylko zdjęciem obuwia.

Przed wschodem słońca, kucharz przyrządza śniadanie, podczas, gdy wszyscy przygotowują się i związują rzeczy do wyruszenia w dalszą drogę. Każdy z tragarzy obowiązany jest zabrać i zapakować pakupek niesiony dnia poprzedniego, za który jest odpowiedzialny.

Z Chessikesse, po trzygodzinnym marszu, przychodzimy do rzeki Zomby i po przedostaniu się na drugi jej brzeg, zatrzymujemy się około południa nad jej brzegami, gdzie urządzamy posiłek. Dopóki nie wkroczymy w okolice Busi, grunt nas otaczający pozostanie niezmienniony. Na prawo, do- kąd sięgnąć okiem rozciągają się granitowe skały, oddzielające Rodezię od kolonii portugalskiej; przed nami ciągną się góry Chimanimani; na lewo rozciąga się okolica o gruncie fałistym i zadrzewionym, a poprzerzynamym mnóst-



Grupa kobiet z okolicy Busi.

stwem wodospadów, strumyków i rzek. Grunt musi być urodzajny, gdyż uprawne ziemie czarnych pięknie się przedstawiają a i lasy są nadzwyczaj bujne i gęste. Między innymi spostrzegam drzewo *Rickxia africana*, wydające doskonały kauczuk. *Landolphil* także częściej rosną tu, aniżeli w Manice. W ogóle dużo rozmaitych odmian drzew gumowych i żywicznych pochłania moją uwagę. W końcu ilość rzek wzbogaciła dotychczasowe wiadomości, osiągnięte już w tym kierunku.

O 5-ej zatrzymujemy się nad rzeką Pachenche, celem zanoć w wiosce. Zdażyliśmy zrobić 40 kilometrów. Od tak objuczonych ludzi więcej wymagać nie mogę.

Zostawiwszy żonę przy pilnowaniu ludzi, wraz

*) Nazwa, nadana przez portugalczyków tutejszym służącym.

z 3-ma najsprawniejszymi wychodzę na poszukiwanie zwierzyny. Długo idziemy wzdłuż pagórka, nie nie spostrzegając, aż w końcu gdy zirytowany niepowodzeniem, chcę już zawracać, spostrzegam antylopę z gantunku *tragelaphus sylvaticus*, którą jednym strzałem położyłem na miejscu.

Nazajutrz wyruszamy o godz. 6-ej, a w dwie godziny później przebywamy rzekę Bonde. Ponieważ ludzie moi donieśli mi o znajdującej się w pobliżu wiosce Cimbesi, wydaję rozkaz postoju, sam zaś udaję się do miejscowych baraków po nowy zapas mąki. Za powrotem o godz. 11-ej zjadam śniadanie, a dowiedziawszy się, że okolica ta obfituje w zwierzynę, postanawiam rozłożyć obóz nad brzegami rzeki Innamay-guena, leżącej o jakie pół godziny drogi.

O godz. 2-ej udaję się na polowanie i jednocześnie wchodzę w bajeczny las o gęstym podszyciu. Na nieszczęście wiatr ciągle zmienia kierunek ku naszemu wielkiemu żalowi. Wielokrotnie spostrzegamy zwierzęta, które uciekają spłoszone i już zwątpiłem o powodzeniu naszej wyprawy, gdy naraz spostrzegam, o 200 metrów na skraju lasu, całą gromadę antylop t. zw. stadnych, złożoną z 10 samiec i 3 olbrzymich sameców.

Z pośród nich jednak, jedną tylko dobrze na cel wziąć można było, gdyż inne znajdowały się w pozycji leżącej. Kula, wypuszczona przezemnie, ugodziła zwierzę, które padło z roztrzaskaną łopatką. Na odgłos strzału przerażone stado zerwało się na nogi, badając wnętrze lasu. W chwili, gdy chciałem powtórzyć strzał, jeden z moich przewodników niefortunnie rzucił się w stronę ranionej ofiary, co wywołało gremjalną ucieczkę, podczas której strzelałem 3 razy w pędzące stado.

Ogromna samica raniona jedną z kul oddzieliła się od reszty towarzyszków. Jest to dla myśliwego znak pomyślny, gdyż lekko ranione zwierzę rzadko kiedy opuszcza swoich braci. Dobijam uderzeniem *assagaju* *), sameca trafionego na samym początku, zostawiam 6 ludzi, aby go przenieśli do obozu, sam zaś udaję się w pogon za ranioną samicą. Po drodze znajdujemy krew na tropach. Przy uważnem jednak obejrzeniu dochodzę do przekonania, że kula strzaskała łopatkę, nie dotknąwszy płuc.

Po godzinnym marszu dostrzegam zwierzę zasłonięte w połowie drzewami, posyłam mu też pocisk, który trafia je w okolice wątroby. Antylopa chowa się w gęstwinie, gdzie się rozgrywa następująca scena:

Zwierzę ucieka, chowając się wśród wysoko rosnących traw, następnie kładzie się na ziemi; w chwili, gdy zbliżam się do niego, podnosi się i ucieka znowu, tak, że niema czasu strzelić. Zapalam się jednak, widząc po wszystkich oznakach, że ucieczka ta długo już trwać nie może: postoje jego są coraz częstsze, a susy mniejsze — zakończenie już bliskie. Raniony porzuca wysokie trawy, których liście ocierając się o rany, sprawiają mu ból dotkliwy. Chroni się też do gęstych krzaków, w pobliżu mojej placówki.

Posyłam ludzi, aby odgarnęli gąszcz znajdujący się podemną. Antylopa wychodzi, a widząc mnie i, czując, że to już ostatnia scena z rozgrywającego się dramatu, chowa głowę pomiędzy nogi, wystawiając swe potężne rogi i w szalonym galopie pędzi wprost na mnie na swych 3-ch tylko zdrowych nogach. Dzielne zwierzę, zanim polegnie pragnie się zemścić na swoim ciemięczy. Przestrzeń dzieląca nas wynosi już tylko około 35 kroków, gdy w tem trzask mocny a suchy prochu bezdymnego, rozdziera powietrze, i zwierzę zatacza się, rażone kulą w piersi...

Każdy z nas bierze tyle mięsa, ile tylko podźwignąć może, resztę zaś, zostawwszy na żer hyenom, daję sygnał do odwrotu.

Antylopa stadna, albo inaczej jeszcze zwana antylopą czarną, opisywaną była poraz pierwszy pod imieniem *harrisbuck* w dziele napisanem w roku 1840, przez angiłka kapitana Harris'a a zatytułowanem *) „*Wild Sport in Southern Africa*“ (uczeni przewalają ją *hippotragus niger* **). Zwierzę to większe jest od jelenia. Szerść u dorosłych jest czarna, za wyjątkiem brzucha, który jest koloru białego i rudych uszów. Na łbie ma on białe plamy, które idą od brwi po nozdrza; oko ma odznaczone białym znakiem, utworzonym z gęstej szerści. Szyja jego i łopatki niezwykle rozwinięte uwydatniają nam jego przednie nogi robiąc wrażenie wyższych od tylnich. Złudzenie to podnosi gęsta czarna grzywa. Ogon dosyć długi zakończony jest pękiem czarnych włosów. Szerść u młodych przechodzi przez wszystkie odcienie płowe, począwszy od maści bułanej, a skończywszy na skarogniadej. Ubranie głowy ma ładne, złożone z rogów obręczkowatych, zakrzywionych do tyłu a zakończonych ostro. Rogi sameca są grubsze u dołu i dłuższe od rogów samicy ***).



Głowa antylopy stadnej.

Antylopa stadna żyje w małych stadach, w których nie znajduje się więcej ponad 3 do 4 samców. Jest ona zwierzęciem najbardziej przebiegłym i podejrzliwym. Na pastwisko nie wychodzi z gąszczów, jak dopiero o zmierzchu albo też wczesnym świtem. Rzadko spotykana na równinach, przekłada okolice poprzerynane wawozami, pokryte bujną zielonością, a przede wszystkim z traw i z liści pewnych gatunków drzew żywicznych.

Tubyley zapewniali mnie, że antylopa ta, napađnięta przez lwa broni się mężnie i że potrafi przebić rogami, niejednego nieprzyjaciela, który niebacznie skoczy jej na łopatki. Kafrowie cenią bardzo mięso tego zwierzęcia, pomimo że jest twarde i posiada specjalny swój zapach, który przypisują roślinom żywicznym służącym mu za pokarm.

Po powrocie do obozu widzę wszystkich murzynów, zajętych oprawą zwierzęcia. Noc całą ogromne ognie obsuszają mięso, które wędzimy w dymie. Pomimo silnego zapachu, idącego z naszej ogromnej rzeźni, żaden nieprzyjaciel nie zmacił naszego spoczynku.

*) „Polowanie na dzikie zwierzęta w południowej Afryce.“ (Przyp. tłum.).

**) Kafrowie zaś nazwali ją *pala-pala*.

*) Rozmiary dużych rogów samców wynoszą od 606 milimetrów do 1 metra 168 milimetrów, samiec zaś od 585 milimetrów do 990 milimetrów.

*) Assagaj, cienka dzida z twardego drzewa, zakończona ostrzem żelaznem, służąca za oręż krajowcom w Afryce południowej. (Przyp. tłum.).

Kierując się wskazówkami tubylec, który zapewnił mi w tych stronach spotkanie z grubszą zwierzyną, zbaczamy z drogi, idąc poprzez całe pola wrzosieni. Przewodnik nasz stracił jednak wkrótce kierunek drogi i od 6-ej rano do 6¹/₂ po południu błądzimy, aż w końcu natrafiamy na dawne obozowisko przez górników widać opuszczone.

Nie napotkaliśmy nawet ani jednej sztuki zwierzyny, a niefortunny przewodnik dostaje w nagrodę ostrą naganę. Przepędzamy noc niezbyt przyjemnie, gdyż deszcz nie przestaje padać.

Nazajutrz na drodze, złanej ulewami, spostrzegam wiele świeżych śladów. Zatrzymuję się przed odciskiem stopy zupełnie mi nieznaney. Podobny jest on do śladów antylopy stadnej.

Pala-pala? (oznacza antylopę stadną) pytam się jednego ze swoich przewodników. „*Tai*“ (nie) odpowiada tenże, „*bira ufo*“. Nazwa ta jest mi nieznaną zupełnie. Wypytyuję się i po opisie poznaję antylopę centkowaną, *hippotragus jencopheus*.

Nie mogę puścić zwierzyny, która tak niedawno przeszła przez drogę. Ponieważ znajdujemy się już niedaleko wsi, powierzam więc czterem zapasowym machillorom bagaże 3 ch przewodników i jednego tragarza, i odsyłając pod opieką żony całą tę karawanę do pobliskiej wsi, sam udaję się za zwierzyną.

Przybywszy na polanę, spostrzegam antylopę w trakcie ucztowania, ale w dużej odemnie odległości.

Przyglądam się jej najpierw przez lornetkę.

Trochę okazalsza od antylopy czarnej, jest jednak narówni zwinna, rogi ma krótsze; zarazem grubsze od swojej poprzedniczki. Są one obrączkowane, zakrzywione do tyłu. Przód głowy w białe plamy, a cały tułów wydaje się szary centkowany na białe. Przewodnicy objaśnili mnie, że jest to stary samiec, czemu uwierzyłem bez trudu, gdyż zwierzę było piękne i okazałe.

Nie chcąc strzelać na niepewne, ze względu na wielką odległość, okrążyłem nieprzyjaciela bokiem wzgórza. W chwili, gdy znajdowałem się o jakie 100 metrów, gotów do strzału, wiatr raptownie zmienił kierunek, a zwierzę, poczuwszy nas, rzuciło się do ucieczki. Pierwszą kulę posyłam za wysoko, i dopiero druga rani antylopę, która wywraca koziołka. Celowałem więcej z tyłu, i zwierzę otrzymało postrzał brzucha...

Zwierzę w ten sposób ranione, skazane jest z góry na śmierć, pozostaje mu jednak jeszcze wiele godzin życia. Dla zaspokojenia swego sumienia, idę za nim, nie widząc go jednak nawet z daleka, i dopiero zachodzące słońce wstrzymało mnie w zapale. Wracam do obozu z sercem pełnym zawodu i żalu do samego siebie, za to, że straciłem taką wspaniałą sztukę, której, ma się rozumieć, nigdy już więcej nie udało mi się spotkać.

Za powrotem znajduję już swoją żonę od 5 godzin zagospodarowaną w wiosce Chitote.

Dla osuszenia wilgoci, panującej w tej wiosce, (tak sobie przynajmniej wykombinowałem), wszyscy jej mieszkańcy od 24 godzin urządzili straszną pijatykę, tak, że nie mogłem znaleźć ani jednego czło wieka, któryby był jako tako przytomny. Wina to już po części piwa kafrjskiego, wytwarzanego z ma-

ki sorgo, sposobem fermentacji. Znam osobiście kilku europejczyków, znajdujących trunek ten doskonałym, dla mnie jednak jest on wstrętny, posiada bowiem zapach stęchłej pleśni, co czyni ten napój wprost odpychającym. Natomiast, kafrowie przepadają za nim do tego stopnia, że pewna część zbiorów oddzielaną zostaje co rok na fabrykację piwa. Z tego też powodu głód staszny panuje wśród ludności w najcięższych miesiącach przednówka. Napój ten, rozpowszechniony bardzo w całej Afryce południowej, nazywa się, stosownie do danej miejscowości, *pombe*, *schuala*, *arua* i t. d.

Przepędziwszy noc w wiosce, nie trudziłem swych ludzi rozstawianiem namiotu, ale wynająłem barak, gdzie spędziliśmy noc w otoczeniu mnóstwa szczurów, które oka nam zmrzyć nie pozwoliły.

Dzień następny postanowiłem przepędzić na poszukiwaniu antylopy centkowanej. Po 9-ciu godzinach daremnego poszukiwania wracam bez najmniejszej nawet zdobyczy. Po południu udaję się znowu za zwierzyną i powracam, niosąc na pieczyście wszystkiego dwie kurki afrykańskie ze znakiem mitry na czubku głowy. Odmiana ta jest bardzo pospolita. Pióra ich czarne i białe, a główki obnażone wyróżniają się z pozostałych innych gatunków czerwono-fioletowym znakiem w kształcie mitry. W porze gdy pola sorgo nie są jeszcze zżęte, napotyka się je ogromnymi stadami.

Kurki afrykańskie zarówno w celach kulinarnych jak i sportowych, stanowią bardzo mile widzianą zdobycz. Oto sposób, w jaki na nie zwykle polowałem.

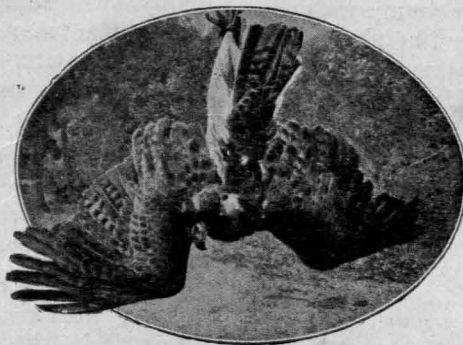
Razem z psami i paru czarnymi wałęsałem się w pobliżu uprawnych pól kafrjskich. Często bardzo napotykałem olbrzymią gromadę, która momentalnie obsiadała gałęzie drzew, oznajmiając gromkim rozhołowem całe niezadowolenie z widoku moich psów. Całkowicie zahipnotyzowane ich wzrokiem mogłyby tak na gałęzi przesiadzić z godzinę. Ja jednak, wbrawszy odpowiednie miejsce, daję znak swym ludziom, aby, robiąc jaknajwiększy zgiełk i hałas, zbliżali się ku mnie. Słyszac zamieszanie, kurki opuszczają stanowisko i wtedy to rozpoczynam atak zabijając je w locie ponad wierzchołkami drzew. Jednego razu zabiłem takim sposobem 8 afrykanek, należących do stada przeszło ze 100 sztuk złożonego.

Pięciogodzinna wycieczka zaprowadziła nas dnia następnego do wsi M'sissi, z której wyruszyliśmy w dalszą drogę o godz. 2-ej, a przebywszy rzeki: Masomba i Rotundę, rozłożyliśmy się obozem w Chaï o godzinie 6 wieczorem, zrobiwszy w ciągu dnia 34 kilometry. Nie zastaliśmy już tam naczelnika obwodu moribańskiego, który wyjechał na stanowisko, przeniesione na górę Chimani-mani.

Chaï, jest dużą wsią kafrjską, a niegdyś miasto stołeczne całego obwodu. Z racji higieny zostało przeniesione w góry. Przepędzamy ten dzień jeden, w poszukiwaniu ruin, o których opowiadali mi moi przewodnicy, a które pewno w snach jedynie widzieli, gdyż nie znalazłem ich nigdzie.

Wyruszamy nazajutrz o 2-ej po południu i prawie równocześnie przebywamy na nowo Rotundę. O g. 3-ej przechodzimy przez wioskę Pangeia, a w godzinę później dochodzimy do rzeki Mohogo.

C. d. n.



Wspaniały orzeł górski.

Sprawa turecka.

Najpoważniejsi znawcy stosunków wschodnich zgadzają się dziś na to, że najważniejszą przyczyną wznowienia konstytucji w Turcji była chęć zagojenia otwartej rany, jaką stanowiła Macedonia, ciągle w niej zaburzenia narodowości dobijających się lepszemu bytu i związana z tem ustawiczna możność interwencji mocarstw. Przyznają to zresztą otwarcie młodoturcy w manifestach do ogółu europejskiego i w odezwach rozlepianych po miastach macedońskich, przyznaje niewóznacznie sama Porta i opinia gabinetów obcych, zgodna tym razem z głosami prasy europejskiej.

Powstanie kwestji macedońskiej, w dzisiejszej jej formie datuje się od Kongresu berlińskiego, odbytego w czerwcu i lipcu 1878, a więc równo od lat 30. Mianowicie na tym kongresie państwa europejskie zmieniły radykalnie warunki pokoju zawartego po wojnie turecko-rosyjskiej w San Stefano w marcu owego roku. I gdy w San Stefano postanowiono między innymi, że Bułgaria, prócz obecnych swych posiadłości, ma obejmować także Macedonię, w Berlinie wyłączono ją ze zdobyczy wojennych, oddano napowrót sułtanowi, a w zamian w paragrafie 23 traktatu berlińskiego dano ludności chrześcijańskiej w Macedonii zapewnienie imieniem Europy, że otrzymają reformy, konieczne nietylko do ich rozwoju, ale do ich bytu. Sułtan naturalnie nie spieszył się z płacaniem weksłu, wystawionego przez resztę Europy, ludność macedońska pod drażniącym wrażeniem wiszących w powietrzu, a niedosiętych reform, poczęła się burzyć, zaś mocarstwa europejskie musiały od czasu do czasu przypominać sułtanowi swoje postanowienia, mieszać się do wewnętrznych stosunków Turcji i rozporządzać się jej losem.

Tak powstała otwarta rana zwana kwestją macedońską. Przyczyną jej powstania była niezgoda dyplomacji europejskiej, wzajemne podejrzania i podstawianie sobie nogi, wreszcie wynikający z tego cały szereg błędów popelnianych w polityce zagranicznej wszystkich państw, z wyjątkiem Niemiec.

Niemcy jedyne od chwili swego wkroczenia w sprawę wschodnią, postępowały konsekwentnie, metodycznie a z ogromną perfidją. Pokłó-

cili w Berlinie sułtana z całą Europą na długie lat dziesiątki po to, aby w tym sporze mógł odgrywać rolę jedyne obrońcy praw sultańskich i nietykalności Turcji.

Plan Bismarka udał się wybornie: „wzrzenie na Bałkanach“, które przeszło jako stałe wyrażenie do słownika polityczno-dziennikarskiego, nieustawało, zaprzętało sobą bez przerwy Europę, aż wreszcie w r. 1902 wybuchło w ostrej formie.

Była to mianowicie chwila powstania w Macedonii t. zw. „Komitetów“ najpierw bułgarskich tylko, później serbskich i greckich także. Bułgarskie komitety dzieliły się na trzy grupy: umiarkowaną pod wodzą Zonczewa i Michajłowskiego, rewolucyjną, której głównym wodzem był zamordowany przed rokiem Sarafow, wreszcie na t. zw. „organizację wewnętrzną“, stworzoną przez Delezewa, która weszła w porozumienie z terrorystami Sarafowa.

Pierwsza rewolucja, prowadzona przez umiarkowanych, wybuchła w wspomnianym już roku 1902. W roku następnym wybuch o wiele gwałtowniejszy prowadził Sarafow, a od tam nie minęło lato, aby Macedonia nie przypominała się Europie rozlewem krwi. Na akty terrorizmu ze strony band bułgarskich, Turcy odpowiadali krwawą represją, a wreszcie poparli, pośrednio czy bezpośrednio, utworzenie w Macedonii prócz bułgarskich, także band serbskich i greckich, które się wzajemnie zwalczały ułatwiając wojskowe i polityczne stanowisko Turcji.

Fakt ten świadczy o wielkiej perfidji absolutnych rządów tureckich, dowodzi też o wielkiem skomplikowaniu stosunków wewnętrznych Macedonii i samej kwestji: co to jest Macedonia?

W urzędowej, tureckiej nomenklaturze Macedonia nie istnieje: są tylko wilajety kossowski, monastyrski i salonicki. Te trzy wilajety ujęte są ze wschodu i z zachodu w trzy inne wilajety Turcji europejskiej, uznane za czysto-tureckie: a więc na wschód adryanopolski, na zachód wilajet Janina i skutarski, zamieszkałe przeważnie przez Albańczyków.

Sama Macedonia została uznana przez pokój w San Stefano za kraj bułgarski, daleka jest jednak od takiej jednolitości etnograficznej, językowej i religijnej. Przedewszystkiem zachodni jej skraj zamieszkuje Albańczycy, południe Grecy, a północna część wilajetu kossowskie-

go należy do Starej Serbii. Prócz tego w Macedonii mieszka 400 do 500 tysięcy Turków, a do skomplikowania kwestji narodowościowej przyczynia się obecność Kucowalichów czyli Zinzarów, którzy mieszczą przeważnie na granicy turecko-greckiej, a do których ma pretensję Rumunia.

O pozostałą chrześcijańską ludność walczą ze sobą Grecja i Rumunia. Grecja ma przy tej sposobności dość dziwne pretensje. Twierdzi bowiem, iż nie to nie znaczy, że ta ludność mówi po słowiańsku, bo historycznie należy do Greków, gdyż w starożytności Macedonia należała do Grecji.

Pretensje Serbii i Bułgarii są lepiej uzasadnione, zwłaszcza co do Bułgarii. Spór powstał stąd, że ludność chrześcijańska i słowiańska Macedonii nie mówiani po serbsku, ani po bułgarsku właściwie. W okolicach bliższych Serbii język jej skłania się do serbskiego więcej, w w sąsiadujących z Bułgarią do bułgarskiego.

Decydującą przytem jest także okoliczność, że ta ludność sama najchętniej przyznaje się do bułgarskiej narodowości, od której różni się nieco typem fizycznym i temperamentem. Macedończycy są żywi, subtelniejsi, bardziej wymowni od Bułgarów, choć może od nich mniej solidni.

Na razie jednak hasła narodowościowe w Macedonii podnosili tylko przywódcy odpowiednich komitetów bułgarskich, serbskich, czy greckich. Sama ludność domagała się tylko takich praw i reform, aby przy nich mogła wegetować i być bezpieczna swego mienia i życia.

Do tego też dążyły dotychczasowe reformy w Macedonii, przeprowadzone przez Turcję pod naciskiem mocarstw. Przedstawiają się one jak następuje:

W roku 1902 ustanowiono generalnego inspektora Macedonii, Husseina Hilmięgo baszę, mającego zajęć się przeprowadzeniem pierwszego planu reform, który utonął w niepamięci. Dalszym etapem, spowodowanym stanowiskiem Anglii i rosyjsko-austriackim programem, ułożonym w Mürzsteg, po drugiej, sarafowowskiej rewolucji w Macedonii, było ustanowienie dwu agentów cywilnych przy boku Hilmięgo baszy, rosyjskiego i austriackiego, którzy mieli trop w trop towarzyszyć generalnemu inspektorowi, jednak nie posiadali żadnej pozytywnej władzy.



PALMORALLI.

Z RAKIETA.



I. Rolshoven.

Komedia ludzka.

ANATOL KRZYŻANOWSKI. * * *

Dwa prądy. * * *

POWIEŚĆ NA TLE WSPÓŁCZESNEM.

(Dalszy ciąg)).

Co? — huknął gniewnie.

— Pan Tadeusz Opolski pragnie widzieć się z jaśnie panem.

Ciemna chmura niezadowolenia osiadła na czole Eustachego.

— Prosić do mego gabinetu, — rozkazał krótko.

— Jeszcze jeden wysłannik — mruknął przez zęby. — Pani Kotwiczowa próbuje wszelkich wybiegów, by się od przybycia tutaj obronić. Nic z tego, piękna pani. Przysiągłem, że cię upokorzę, i upokorzyć muszę.

Gdy stanął jednak na progu i ujrzał ceremonialny strój przybyłych, wspomnienie wczorajszego starcia z Ierzym nagle błysnęło mu w myśli.

— Jestem Tadeusz Opolski, — przedstawił się młody człowiek z krótkim ukłonem.

— Mój dawny pupil? — objaśnił Morski, wyciągając rękę.

Opolski udał, że ruchu tego nie widzi.

— Tak, — przyznał. — Mówiono mi, iż nazwisko pana hrabiego figurowało w aktach naszej opieki.

— Czy tylko w aktach? — rzucił Eustachy sarkastycznie.

— Niestety, podobno i w życiu; tak przynajmniej każe mniemać misja, sprowadzająca nas tu dzisiaj.

Zajawszy zaś wskazane miejsce, ciągnął dalej.

— Domyśla się zapewne pan hrabia, iż przybywam w imieniu przyjaciela mego i szwagra, Jerzego Kotwicza. Ponieważ bolesne zajście wczorajsze, krwią tylko zmazane być może, jako więc jego sekundanci mamy zaszczyt prosić pana o wskazanie świadków, upoważnionych do ułożenia z nami bliższych warunków spotkania.

Ceglasta czerwonosc oblała rysy Eustachego, lewe zaś oko, jak zwykle w chwilach gniewu, nerwowo drgać mu zaczęło.

— Co? — zawołał, tonem czelnej arogancji — Pojedynek z Kotwiczem?

— Pan hrabia nie życzy go sobie? — pochwycił Tadeusz spokojnie.

— Strzelać się z Kotwiczem? Ha, ha, ha! Ależ to szaleństwo!

Opolski udał, iż nie pojmuje znaczenia szyderczego, jego śmiechu.

— W rzeczy samej — wtrącił drugi świadek — walka ta może przybrać wobec świata pozory nie tylko szaleństwa, lecz potwornego występku. Jakkolwiek też nie jesteśmy upoważnieni do pokojowego jej zakończenia, jednakże, jeżeli sumienie pańskie wzdyga się przed wyjątkowym tym krwi rozlewem, nie wątpię, iż cofając słowa wyrzeczone, potrafisz go uniknąć, szczerem zaś przeproszeniem się

dziwego Kotwicza i jego synowej, zdołasz zatrzeć pamięć bolesnych starc i nieporozumień.

— Mój panie—porwał się dyplomata—Morscy nie mają zwyczaju przeproszać.

— Ani tchórzyc jak sędzę—przerwał Opolski. — Wobec zaś dwóch tych alternatyw, nazwanie pojedynku szaleństwem, zagadką się dla mnie staje.

— Znać, iż wzrosłeś pan w otoczeniu, które z poglądami szlacheckimi, przez wieki utrwalonemi, nie wiele miało wspólnego.

— W rzeczy samej, wpajano mi tylko pojęcia honoru, ale nie szlacheckie. W imię też ich, mam zaszczyt powtórnie prosić pana, o wskazanie świadków, z którymi moglibyśmy ułożyć warunki honorowej satysfakcji, żądanej przez mego szwagra.

— Szkoda, iż pański szwagier, trzymając się widocznie ewangelickiej zasady, iż kto wiele żąda, temu wiele danem będzie, zapomniał, że tym razem nie z Opatrznością ma do czynienia—szydził Morski.

— To znaczy?

— Że hrabia Morski zwykł się pojedynkować z równymi sobie tylko.

Tadeusz Opolski dumnie zmierzył go okiem.

— Tych hrabia Morski nie wielu znajdzie — odciał ironicznie.—Co zaś do Jerzego Kotwicza, zarówno wykształcenie, jak szacunek ogólny, otaczający jego imię...

— A cóż mnie szacunek ogólny obchodzi — rzucił Eustachy niedbale.

— Prawda, zapomniałem, iż pan hrabia nie chcesz z nim mieć nic wspólnego. Oddalamy się jednak od kwestji. Zmuszony jestem prosić pana o kategorię wyjaśnienie, na jakiej zasadzie odmawiasz honorowej satysfakcji memu szwagrowi?

— Powiedziałem już—objaśnił wzruszając lekceważąco ramionami—iż samo żądanie to, na szaleństwo zakrawa. Pojedynek z Kotwiczem? Ależ, mój panie, ja chłopskich synów bić kążę, gdy na to zasłużą, sam się jednak z nimi nie biję.

Tadeusz Opolski pobladł silnie.

— Ostrożnie, mości hrabio, by cię uniesienie nie zaprowadziło za daleko. Słowa powyższe zbyt wielką przynoszą ci ujmę, abym je chciał brać na na serjo.

— Przeciwnie—przerwał zaperzony pyszałek. — Dość już mam tego wdzierania się w nam tylko przynależne prawa. Wolno było Opolskim zapomnieć, kim są i dobrowolnie zdegradować się do związków z chłopskimi synami, kosztem gminy wychowanymi żebrakami; ale skoro im poniżenie takie miłe, niechżeż go używają sami i nie starają się przynajmniej mnie w to błoto wciągnąć. Dość tych komedji szlachectwa i arystokracji z chłopską krwią niezgodnych. Niech Kotwicze nie zapomina, że jest tylko synem mego oficjalisty, niech mię nie drażni i nie doprowadza do ostateczności, bo doraźna, ręką lokaja wymierzona kara, oto jedyny los, jaki go spotkać może, jedyna honorowa satysfakcja, której hrabia Morski mu udzieli!

W miarę słów jego porywczych, rzucanych z całą bezwzględnością arogancją pyszałka, w żyłach Tadeusza Opolskiego krew również zagrała.

— Zapominasz, mości hrabio...

— Nie, to Kotwicze zapomnieli już, jak smakowały pańszczyzniane, na skórze ich znaczone batogi; sądzili, że zaszczytami amatorami panny Opolskiej, mają prawo przybierać pozy rycerskie i da-

wnym dziedzicom rzucać rękawicę. Na szczęście potrafię we właściwy sposób chłopską ich ukrócić butę.

Cyniczna, brutalna ta uwaga, nikkzemnością swoją dopełniła miarki, zerwała względy, krępujące dotąd Tadeusza. Poniewierano najbliższym jego przyjacielem i krewnym, znieważono szwagra rodzzonego, spotwarzano siostrę, a czynu tego dopuszczał się pogardy godny hulaka, były opiekun, który powinien jej być ojca zastąpić.

Blady, ale napozór spokojny i spokojem tym imponujący właśnie, rozdrażnionemu arystokracji, młody Opolski podniósł się i wyprostował dumnie.

— Odmawiasz zatem mości hrabio honorowej satysfakcji Jerzemu Kotwiczewi dlatego, że nie jest szlachcicem?—zapytał z powagą.

— Pojedynekuję się tylko z równymi sobie — brzmiała lekceważąca odpowiedź.

— Mam nadzieję, iż Opolskich musisz za takich uznać—zawyrokował młody człowiek z mocą. —Opolski nie ustępuje w heraldycznej legitymacji Morskiemu, bo w żyłach jego ta sama krew płynie, a jakkolwiek nie szcycimy się kupnym tytułem, wzamian jednak ród nasz o dwa wieki co najmniej starszym jest od waszej tarczy herbowej. Nie Jerzy Kotwicz więc, lecz ja zamiast niego żądam dziś krwawego zadośćuczynienia za zniewagę, rzucone tu i krzywdy, jakie moja rodzina znosić musi oddawna!

Za całą odpowiedź śmiech szydłszy gryzący, wybiegł na skrzywione, jak u satyra, usta ex-dyplomaty.

— Co, znów pojedynek—śmiał się dalej—ha, ha, ha, ależ to paradne. Sądziłicie, jak widzę, że jestem dzieckiem, które się da lada groźbą zastraszyć.

Blade, jak wosk, lica Tadeusza wskazywały, iż wszystka krew do serca mu zbiegła, z podwójną gotując się tam siłą.

— Czy herb mój jest jeszcze nie dość dobrym dla pana?—stłumionym podjął głosem.

— Nie, ale mój młodzieńcze, pamiętaj, że nie jestem Herodem, abym własnych pupilów zarzynał.

— To niegodna wymówka — zawołał Opolski porywczco. — Pupilem twym, mości hrabio, nigdy właściwie nie byłem. Jeżeli zaś prawnie w tej występujesz roli, tem większa ci hańba, iż pamięć jej krwią chcę zmasać dzisiaj.

Eustachy Morski posiniał z wściekłości.

— Pojedynek między wujem i siostrzeńcem, między opiekunem i wychowankiem? — zaryczał — Ha, ha, ha, ależ to istny melodramat, a ja—dodał, wzruszając ramionami — z zasady na melodramatach nie bywam, bo mnie nudzą i śmieszają. Stać się zaś bohaterem zaściankowych awantur nie mam bynajmniej zamiaru. Może rola ta ciebie, mój młodzieńcze, podniosłaby w oczach jakiej wiejskiej Dulcyniei, hrabiego Morskiego jednak ośmieszyć by tylko mogła.

— Odmawiasz pan więc? — zapytał Opolski, posuwając się groźnie o krok naprzód.

Ex-dyplomata monokl w drgające założył oko.

— Powtarzam—objaśnił—iż nie jestem Herodem, abym własnych pupilów zarzynał.

Ale jesteś tchórzem bezczelnym, którego trzeba do walki przymuszać!

— I drżącą z uniesienia ręką młodego człowieka zawisła równocześnie w powietrzu, a trzy-

mana w niej rękawiczka ruchem błyskawicznym opadła na policzek hrabiego.

Morski skoczył naprzód, jakby chcąc chwycić za gardło przeciwnika, lecz w tejże chwili zatoczył się i opadł na fotel. Na usta biała wystąpiła mu piana, oczy zdawały się z oprawy wychodzić.

Tadeusz Opolski drżący, wzburzony, pochylał się z ironicznym ukłonem.

— Czy teraz raczysz mi, mości hrabio, wskazać świadków, z którymi sekundanci moi mogliby ułożyć warunki spotkania?—zapytał.

— Baron Kruzenberg i Maurycy Korybut, tu w Orłowie, dziś jeszcze — wybiegło na spienione usta Morskiego.

— Dziękuję — odparł Opolski i ze sztywnym ukłonem obaj pokój opuścili.

XVII

Jakkolwiek piękna rezydencja Morskich nie obcą była baronowi Kruzenbergowi, niemniej, dojeżdżając w kilka godzin później do Orłowa, bogaty finansista z pewną dumą rozglądał się po posiadłościach przyszłego szwagra. Obszerne włości, wielki park i stara polska Leliwa, złączona z Pomianem na frontowej tarczy pałacu, w hrabiowską zdobną koronę, te same wreszcie herby, powtarzające się wszędzie, od najmniejszego liberyjnego guzika, aż do upręży na koniach, wszystko to lechtało próżność pana bankiera.

— Leliwa i Pomian—wyszeptał—tych już nie kupuje się za pieniądze. Nikt też nie ośmielił się zarzucić, że na zapalkach albo cebuli zdobyte zostały.

— Salcia robi partję — monologował dalej. Morski ograniczony pyszałek, ale cóż to znaczy? Imię świetne, pozory wielkich bogactw, nie powiedzą więc, żeśmy golca dla tytułu złotem osypali; trudno zaś, aby towar nie miał na sobie żadnej skazy, bo w takim razie nie przyszedłby w nasze ręce. Zresztą, Salcia za brzydka, by przebierać mogła; i tak na jej szczęście, długi zbyt widać hrabiemu dokuczyły, dzięki czemu świetny robimy interes.

Na progu jednak miał go już spotkać zawód.

Zamiast uroczystego przyjęcia, spostrzegł jakiś zamęt, hrabia Eustachy wyszedł zmieszany, rozdrażniony, słowa zaś jego nerwowymi ruchami przeplatane, zdradzały gniew wściekły, bezładnie szamoczący się z sobą. Zaledwo też minęły pierwsze powitania, Morski czując, iż czasu niema do stracenia, sekundanci Opolskiego bowiem lada chwila przybyć mogą, pociągnął wytwornego finansistę do swego gabinetu.

— Baronie—zawołał, gdy się sami znaleźli — przybywasz w samą porę. Sądzę, iż na mocy długoletnich naszych stosunków, mam prawo odwołać się dziś do twych przyjacielskich i... braterskich uczuć.

Kruzenberg skrzywił się nieznacznie; braterstwo poglaskało go jednak.

— Rzecz prosta, jestem na twe rozkazy, hrabio. Morski opowiedział w krótkich wyrazach co zaszło. Wmiarę słów jego, rysy bankiera sztywniały zwolna.

— Brzydka sprawa, zdecydował, wysłuchawszy do końca. Daruj hrabio, ale z dziwną poprowadziła ją nieopatrznością. Człowiek wytracony

z równowagi przez namiętność, nie wie zazwyczaj co czyni. Tu się tak samo stało. Najpierw stracił pannę Opolską...

Ależ zaręczam—przerwał Morski—iż nie miałem żadnych względem niej zamiarów. Myśl ożenienia się przysłała mi dopiero, w chwili poznania panny Salomei.

Baron Kruzenberg podniósł rękę z właściwym mu, wyniosłym ruchem.

— Nie mieszajmy tu imienia mojej siostry. Dopóki sprawa, kompromitującego zajścia, załatwioną nie zostanie, nie może być mowy o żadnych na przyszłość projektach.

— Przyznaję, baronie, że więcej liczyłem na twoją przyjaźń.

— I nie zawiedzie ona pana. Z drugiej jednak strony, zechciej zrozumieć hrabio, iż Kruzenbergowie silnie od innych muszą się liczyć z opinią. Człowiek, źle u niej notowany, to tak, jak źle renomowany towar, traci na cenie; szanujące się też firmy nabywać go nie powinny. Daruj, panie Eustachy, ale powtarzam, iż z własnej winy w fałszywym postawiłeś się położeniu. Straciłeś najpierw pannę, później masę pieniędzy na proces, a wreszcie zostałeś znieważony. Równocześnie zaś, jeżeli odmówisz pojedynku, świat krzyknie, żeś tchórz nikczemny i dotknie cię właściwym w waszych pojęciach ostracyzmem. Jeżeli będziesz się strzelał, powie, żeś zbrodzień i bratobójca, że zamiast pupilom twym ojca zastąpić, nie tylko niszczyś ich materialnie, lecz jeszcze mordujesz i zarynasz, jak niewiniątka.

Hrabia Eustachy, nie próbując bronić się według zwyczaju cynicznym sarkazmem, po raz pierwszy wobec tego bezceremonialnego oskarżenia, głowę z pewnym zgnębieniem na piersi opuścił.

— O, brzydki geszeft, zły interes mruknął bankier przez zęby.—Jakkolwiek obrót weźmie ta sprawa, zawsze pan będziesz w niej moralnie i materialnie pobitym. Szanujący się człowiek z kodeksem prawnym, ani z kodeksem świata nigdy w jawną nie wchodzi kolizję. To tak nie wiele kosztuje zachować trochę pozorów uczciwości i uczuć obywatelskich, a tak dobrze procentuje stosunkowo! Parę przejażdżek do Opola, kilka obiadów, garść czułych frazesów i byłbyś uchodził za wzór opiekuna.

— Trudno mi było poświęcać się dla cudzych, narzuconych mi dzieci.

— Dowodzenie to już słyszałem — przerwał baron zimno. — Daleki jestem od narzucania sobie lub komuś roli jakiegoś błędnego rycerza, dziś jednak, gdy rzecz cała bliżej mnie obchodzi, mam prawo powiedzieć, iż człowiek praktyczny dla samych względów utylitarnych nie lekceważy własnych obowiązków, inaczej mścić się na nim zawsze będą.

— Wygodna etyka—zauważył Morski ironicznie. Kruzenberg wzruszył niedbale ramionami.

— Ależ mój hrabio, nie rzucajmy sobie piasku w oczy—przerwał lekceważąco. — Ja o pobudki nikogo nie pytam, bo to rzecz jego sumienia i spowiednika. Czy więc postępuje dobrze dla zysku, dla własnej wygody, lub próżności, kwestja obojętna; wystarczy mi, gdy stojąc na poziomie pojęć uczciwości i honoru, z opinią nie wchodzi jawnie w zatargi.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Tajemnice wyspy Wielkanocnej.

W pośrodku morza Południowego, które stanowi wschodnią, ubogą w wyspy, część olbrzymiego Oceanu Spokojnego, leży samotnie mała wyspa, o 118 kilometrów kwadratowych powierzchni, jako ostatnia placówka archipelagu morza południowego, oddalona od najbliższego stałego lądu, wybrzeży Chili i Peru, o przeszło 400 mil. Ze wszystkich stron oblewa ją otwarty ocean, a najbliższym jej sąsiadem w odległości 60 mil, jest niezamieszka wyspa Salay Gomez. Wysepka, o której mowa powyżej, jest ową, w roku 1722, przez holenderskiego żeglarza, Roggeveen'a odkrytą „wysepką Wielkanocną”, która w języku krajowców nosi miano „Waihu”, albo „Rapanui”. Około niej snują się ciemne, nieodgadnione zagadki dziejów ludzkości.

Był właśnie poniedziałek wielkanocny, gdy Roggeveen odkrył tę wyspę i dlatego takim przechrcił ją imieniem. Już ten żeglarz holenderski wspomina o nadzwyczajnych śladach starej kultury, o ogromnej liczbie olbrzymich figur kamiennych, wyobrażających ludzkie postaci i o wielu innych pomnikach, jakie znalazł na wyspie.

Po nim zwiedził wyspę w r. 1774 światowy wędrowiec Cook, następnie przyszli francuzi na czele z La Pérouse, potem Kotzebue w r. 1816, i inni, ale dopiero od naszych czasów, gdy w etnologicznych badaniach zwrócono uwagę na niezwykle resztki zanikłej kultury, zaczynają się prawdziwe, naukowe badania.

W r. 1882 przybył na wyspę niemiecki okręt pod wodzą kapitana Geislera, aby na miejscu zebrać materiały do badań nad tą ciekawą krainą, a starożytności tamtejsze zyskać dla muzeów. Zdobyte tej ekspedycji zostały ogłoszone drukiem, a muzeum ludoznawcze w Berlinie wzbogaciło się licznymi zabytkami z owej wyspy Wielkanocnej, pochodzącymi z różnych okresów czasu, tak zamierzchłych jak i późniejszych.

Jak już powiedziano wyżej, są to ślady starej, stosunkowo wysokiej kultury, która tu, na tej wysepce budziła podziw odkrywców i nasuwała mimowoli na usta pytanie: jak wyjaśnić powstanie i dzieje tej zanikłej kultury na prawie pustej, samotnej wysepce?

Starożytne pozostałości w tym

odludnym kraju są rozmaitego rodzaju. W licznych dolinach, niedaleko brzegów morskich znajdują się szerokie, około 2 m. wysokie, a 20 m. długie płyty z kamieni ciosowych; na nich zaś stoją ogromne, z gruba ociosane posągi z szarego kamienia, do 9 metrów wysokie, kształtu starożytnych herm, a więc czterokątne słupy zakończone u góry głową ludzką. Na głowach noszą te postaci potężne, do cylindrów podobne nasady, jakby kapelusze z innego kamienia, niż same figury, przypominającego czerwoną lawę. Przeważną część tych kapeluszy nieznani sprawcy postrzękali z figur i roztraskali, figury zaś powalili na ziemię. Wszystkie leżą twarzą ku górze, jednakże



Hermi na wyspie Wielkanocnej.

w taki sposób, że zawsze głowa zwrócona jest na zachód.

Kilka z tych kamiennych kolsów przewieziono do Paryża, i do Muzeum Brytyjskiego w Londynie; uniknęły one losu swych towarzyszy i zupełnego zniszczenia.

Drugi rodzaj kamiennych posągów, zupełnie odmienny i prawdopodobnie młodszego pochodzenia, znajduje się na stoku krateru zupełnie wygasłego wulkanu Rana Roraka. Tam stoją bez żadnych postumentów, wprost na ziemi i jakby z niej wyrosłe olbrzymie, nieforemne kamienne oblicza bez tułowiu, bez biustu i bez czerwonych z lawy kapeluszy. Sterczą one jak gdyby z niezadowolonym wyrazem twarzy nad morzem i sprawiają prze-

rażające wrażenie na zabląkanym wędrowcu, którego widok ich dosłownie straszy, niby zgraja duchów.

Oba te rodzaje kamiennych posągów pochodzą bezwątpienia z rozmaitych okresów nieznanymi dziejów tej wyspy. Ogółem naliczono tam blisko 200 takich bożyszczy.

Pozatem odkryto takie miejsca, gdzie sporządzano te posągi. Były one zazwyczaj na stokach gór; tam wykuwano statuy w skałę, następnie odbijano i za pomocą powrozów spuszczano w dół. Dziś jeszcze można widzieć, w jaki sposób powstawały owe kamienne olbrzymie, gdyż dawni ich twórcy właśnie w czasie swojej pracy zniknęli z widowni.

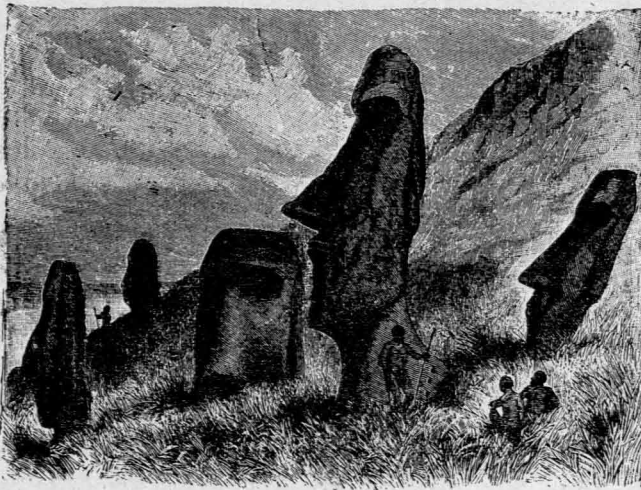
Rozpoczęte i napół ukończone figury sterczą do dziś niewolnione ze skał, we wszystkich możliwych stadjach wykonania, począwszy od pierwszych, surowych jeszcze ociosów, aż do zupełnego wykończenia. Pozostały nawet kamienne dłuta, którymi posługiwali się przy swej pracy nieznani rzeźbiarze. Kapitan Geisler zabrał dwie sztuki tych narzędzi.

Oprócz pomników snycerstwa odkryto również fundamenta mieszkań ówczesnych krajowców, dalekie nagrobki i niskie domki kamienne, na pół zasypane, wewnątrz ozdobione barwnymi figurami.

W roku 1870 przyszła do Europy wiadomość o niebywałym odkryciu, które dało powód do najbardziej wybujałych przypuszczeń.

Francuski misjonarz Roussel odnalazł mianowicie na wysepce Wielkanocnej trzy drewniane tabliczki, zapisane hieroglifami, gdy tymczasem nigdzie w Australji, ani u ludów całej Polinezji nie natrafiono na jakiegokolwiek ślady wyższej kultury. Nic nigdzie nie nasuwało przypuszczenia, by ludy owe kiedykolwiek przekroczyły granicę zupełnej dzikości. Owo pismo, będące zresztą zawsze najdowodniejszym przykładem kultury u ludów, tu wyglądało na zjawisko nieprawdopodobne, coś zabląkanego wśród dzikiej przyrody tej najmłodszej części świata.

Zdobyte te—pierwsze znalezione okazy znajdują się w muzeum w Santiago w Chili—pomnażały się prędko, tak, że dzisiaj w bardzo wielu muzeach europejskich oglądać można oryginały, albo też odlewów owych starożytnych resztek przeszłej bezpowrotnie kultury. Pismo na tabliczkach składa się z wrytych, do hieroglifów egipskich



Kamienne twarze na wyspie Wielkanocnej.

podobnych znaczków, idących od ręki prawej do lewej i od dołu do góry. Równomierny sposób, w jakim znaczki te są wykonane, zdradza ogromną zręczność, tak że trzeba tu przypuszczać istnienie zawodowych pisarzy. Drzewo tabliczek pochodzi po większej części z jedyne go na wyspie Wielkanocnej rosnącego rodzaju; inne, prawdopodobnie, sporządzone zostały z wyłowionych z wody kawałków drzewa.

A teraz zastanówmy się nad pytaniami: czy wyspa Wielkanocna była ostatnią resztką jakiegś znikłej, przez ludy cywilizowane zamieszkałej części ziemi, którą pochłonął ocean, co by przypominało jedno z podań starożytnych greków. Czy też może stała ta kultura w związku ze starymi, cywilizowanymi ludami Ameryki środkowej, od której jednak wyspa Wielkanocna setki mil jest oddalona? Znawcy historii staroamerykańskiej przypuszczają właśnie to ostatnie, zaprzeczyc się bowiem nie da, że niemożliwością jest, aby na tej maleńkiej, odosobnionej zupełnie wysepce był właśnie początek tak stosunkowo wysokiej kultury.

Już Wilhelm Humboldt wspominał, że między językami na wyspach Polinezji, a językami amerykańskimi zachodzi wcale niedalekie pokrewieństwo. Możliwe więc, iż nasienie amerykańskiej kultury dostało się w owych pierwszych, najdalszych okresach czasu na wyspę Wielkanocną; sławny angielski geograf Markham znajduje nawet pewien związek między przedhistorycznymi ruinami na jeziorze Titicaca, w Peru, a pomnikami na wyspie Wielkanocnej.

Zdawało się, że poza licznymi domysłami najmniej promień nie

rozświetli nigdy ciemności, w jakiej pograżoną była historia owych kamiennych budowli i ich twórców, tem więcej, że krajowcy nie zdradzali żadnej o nich świadomości.

Najnowsze dopiero badania doprowadziły do lepszych wyników. Przekonano się mianowicie, ku wielkiemu zaiste zdumieniu, że niejako pozostałości owej z odległej epoki pochodzącej

kultury, tkwią po dziś dzień na wysepce, przechowując się żywo w samych krajowcach. Oto n. p. mają oni dla poszczególnych posągów kamiennych umyślnie nazwy odrębne, a zarazem bez różnicy, względem wszystkich potworów kamiennych na wyspie, odnoszą się ze strachem zabobonnym, a to jest za zwyczaj właściwością wszystkich ludów, posiadających wśród siebie resztki dawno minionych i zapomnianych okresów kultury. Dowiedziano się też, że już, gdy hiszpanie pod wodzą Gonzalez'a w roku 1770 zajęli wyspę, ówczesny król, czy naczelnik wyspy przyjął dekret o tem, zaopatrzone w rozmaite figury i znaki. Dziś jeszcze krajowcy określają wspomniane wyżej pisma w postaci zapisanych hieroglifami tablic drewnianych — jednym słowem w języku miejscowym, które dosłownie oznacza „mówiące drewno“.

Szczególnie ważny rezultat dała niemiecka wyprawa w roku 1882. Odnaleziono wtedy starego naczelnika wyspy, który objaśnił, że dawniej na owych drewnianych tabliczkach wypisywano rodowody znakomitych rodzin hieroglifami i, że rozmaici naczelnicy wyspy za pomocą tego pisma udzielali sobie wiadomości. Znajomość pisma ograniczała się tylko na królach i naczelnikach; lud nie rozumiał go wcale. Również i tarcze, jakie nosili władcy wyspy, pokryte były podobnymi napisami.

Mimo tych danych nie udało

się do dziś dnia wyjaśnić owych napisów na tabliczkach; najstarsi krajowcy na wyspie, którzy według zdania kapitana Geislera, powinni byli jeszcze zachować znajomość znaków pisarskich na „mówiącem drewnie“ — potrafili wogóle dawać jeno pobieżnie wyjaśnienia co do właściwej treści tablic. To też niektórzy uczeni nabrali przeświadczenia, że znajomość pisma mieszkańców wyspy, jako taka, przepadła już bezpowrotnie, a natomiast zachowały się u krajowców zaledwie niepewne wspomnienia o znaczeniu tablic drewnianych i o treści tego, co na nich niegdyś wypisano. Dość, że nie udało się dotychczas wcale wyjaśnić znaczenia owych hieroglifów na pewne, a zato zgodzono się na wiele domysłów; pewność zaś mają badacze jedynie co do niektórych figur pisarskich, które określają naprzykład najważniejsze bóstwo tubylców: boga jaj ptaków morskich; bożek ten jest na wyspie Wielkanocnej nader często wyobrażany i dlatego wogóle bardzo dobrze znany. Inne z przypuszczalnie rozpoznanych znaków, stanowiły określenia czasu, jeszcze inne wreszcie pory roku i t. d.

Z pomocą pewnego, od długich lat zamieszkałego człowieka, który rozumiał język krajowców, dowiedziano się, że opisane wyżej kamienne pomniki sporządzone zostały przez przodków obecnych mieszkańców. Była w niedawnych jeszcze czasach — opowiadało — pewna klasa ludzi, którzy znali dzieje powstania tych bożyszczy i zażywali z tego powodu wielkiej czci. Robota przy sporządzaniu ich była podobno tak ciężka, że jeden rzeźbiarz mógł przez całe swoje życie wykonać tylko dwa takie dzieła.

Kapitanowi Geislerowi przedstawiono nawet człowieka, którego pradziad miał być jednym z twórców kamiennych olbrzymów. Dziś jeszcze — powtarzamy — odczuwają przed nimi mieszkańcy wysepki rodzaj zabobonnej trwogi. Przypisują



Pismo dawnych mieszkańców wyspy Wielkanocnej.

oni bożyszczom wielką moc, a tylko rozwalone uważają za niebezpieczne, za pozbawione siły i — „umarłe”. Podania tamtejsze mówią, iż bogi te walczyły niegdyś w nocy ze sobą i słabsze zostały przez silniejsze powalone i rozbite.

To jest wszystko, czego można się było dowiedzieć na miejscu o starych zabytkach wyspy Wielkanocnej.

Zagadka jednak nie rozwiązana jeszcze; pozostaje bowiem ciągle pytanie: skąd pochodzi, gdzie źródło owej kultury? Na to nie mamy odpowiedzi. To tylko pewnem, że sama z siebie na tej wyspie powstać nie mogła. Jest bowiem niepodobieństwem, aby człowiek na tak maleńkim, samotnym skrawku ziemi dosięgnął tak wysokiego stopnia kulturalnego rozwoju, aby tak szczupła ludność samoistnie przekroczyć zdołała granice surowego stanu natury; byłoby to bowiem bezprzykładne w dziejach ludzkości.

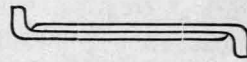
Wiadomem jest wprawdzie, że wysepka Wielkanocna była dawniej licznie bardzo zamieszkała i dobrze uprawiana, czasy te jednak musiały zmienić się na długo jeszcze przed przybyciem europejczyków. W ogóle wiadomości o czasach samoistnego rządzenia na wyspie Wielkanocnej, w przeciwieństwie do podobnych wiadomości o wyspie Hawaj, zupełnie zaginęły. Ludność wymiera tam z niepowstrzymaną szybkością; liczba wypadków śmierci przewyższa podwójnie cyfrę urodzin. Ma się wrażenie, jakoby wymierały tu ostatnie resztki dawnej epoki dziejowej mieszkańca Polinezji, którego los rozstrzygnął się jeszcze przed wiekami.

Prawdopodobnie zagadka wyspy Wielkanocnej pozostanie nierozwiązana i trzeba pozostać przy domysłach, że jest ona, wraz z innymi wyspami oceanu południowego, gruzami jakiejś zapadłej, nieistniejącej już części świata. Na tym to dawnym lądzie, który pogrzebały fale oceanu, żyły ludy cieszące się ową kulturą. Resztki tej kultury mogły się być na wyspie Wielkanocnej utrzymać; musiały jednak zagaść, gdyż nie mogły tam znaleźć żywych warunków dalszego rozwoju.

Nie nie przemawia za szczególniejszym duchowym wyposażeniem tych ludów; stoją one nie wyżej od mieszkańców reszty wysp. Przyjęły tylko spadek po swych przed-

kach, nie dodając od siebie nic. Podobne ślady dawnej kultury, jak pomniki kamienne, do piramid podobne nagrobki i t. d. spotyka się i na innych wyspach południowego oceanu i tak na wyspie Ascension, Ladronach i wyspach Sandwich. Są to dowody istnienia przebrzmiałego na wieki okresu dziejów ludzkości, ostatnie wskazówki przeszłości nieznaney, które się w nasze czasy dostały, pełne tajemniczości, a niepojęte i nieodgadnione.

elk.



Bankructwo naszej wiedzy o materji.

Trudno byłoby dowieść, czy kiedykolwiek jaki wynalazek narobił tyle wrzawy, co wytworzenie próżni, o której prowadzono filozoficzne dysputy, której jednak przed Toricellim nikt wytworzyć nie umiał, ani sobie jej istnienia nie wyobrażał.

Jak wygląda próżnia, jak się ją robi, co w niej jest? — to były pytania, które oswądziły umysłami nie tylko uczonych, ale i laików, gdy rozniosła się po świecie wiadomość o sławnym odkryciu Toricellego. Bo czy można przypuścić, aby w jakiejś przestrzeni nic nie było, a może — myślano — światło przez próżnię nie przechodzi, w takim razie próżnia zamknięta w szklanym naczyniu byłaby ciałem nieprzezroczystym, czarnym, a może wraz z powietrzem, którego tam brak, usuwa się z próżni także i ciepłik, znajdujący się w ciałach, to naczynie próżnią wypełnione powinno być kompletnie zimne, zimniejsze, niż to można pojąć.

Wkrótce nauczono się wytwarzać próżnię, ale nastąpiło ogólne rozczarowanie; uczeni sprawdzili tylko, że atmosfera jest ciężka, że ciśnienie na powierzchnię ziemi, jakby ciążyła masa wody, oblewająca całą ziemię warstwą na 10 metrów grubą, albo podobna warstwa rtęci o grubości 76 cm., innych nadzwyczajnych zjawisk w próżni nie zauważyli: naczynie szklane opróżnione z powietrza nie było wcale zimne, a na zewnątrz wyglądem nie różniło się niczem od naczynia wypełnionego powietrzem.

Na każdy sposób i stwierdzenie ciężaru atmosfery było w owych

czasach czemś tak niezwykłym, że prócz uczonych także i laicy zajmowali się tem nowym odkryciem.

Ta historia fizyki wspomina szanowną i w swoim rodzaju ciekawą osobistość magdeburgskiego burmistrza, Ottona Guericke. Był to sobie prawnik, który lubił pasjami fizykalne doświadczenia, ale szczególnie te, które połączone są z głośnymi efektami. Studja swoje nad próżnią rozpoczął tem, że sikawką pożarną starał się beczkę przez otwór opróżnić z wody; robota była ciężka, ledwo trzech silni ludzie jej podolali, lecz przy tem okazało się, że beczka nie była szczelna i że w miarę jak usuwano wodę z beczki, szczelinami do niej wciskało się powietrze. Spróbował więc beczkę, z której pompowano wodę, zanurzyć także w wodę, aby w ten sposób odciąć zupełnie przystęp powietrza, lecz teraz całkiem nie szło.

Niestrudzony Guericke jednak nie odstraszył się trudnościami — przecież powietrze łatwiej pompować niż wodę — uczynił więc z blachy miedzianej porządną kulę i z niej sikawką pompował powietrze. Tym razem doświadczenie udało się: Zrazu robota była łatwa, ale gdy po jakimś czasie pompowania ledwie dwaj najsilniejsi mężowie (*viri quadrati*) zdołali tłok poruszać, kula miedziana z głośnym trzaskiem załamała się do wnętrza.

W końcu sporządził silniejsze naczynia i lepszą pompę i okazał w r. 1654 doświadczenie przed cesarzem Ferdynandem III i członkami sejmu w Regensburgu; doświadczenie polegało na tem, że po cztery pary koni ciągnęło w przeciwne strony dwie półkule, dokładnie do siebie przystające, między którymi przestrzeń była próżna, a gdy je wreszcie rozerwały, dała się słyszeć straszna detonacja, jakby z wybuchu pochodząca.

Dziś doświadczenia z próżnią są tak łatwe do wykonania, same zjawiska towarzyszące próżni, jak objawienie się ciśnienia powietrza, wrzenie cieczy pod zmniejszonym ciśnieniem, marznięcie cieczy przez przyspieszone parowanie i inne, tak są dla nas zrozumiałe, że gotowi jesteśmy szydzić z naiwnych uczonych XVII wieku, którzy tyle po tej próżni spodziewali się, a tak nie wiele na niej zyskali.

A przecież postępek taki z naszej strony byłby właśnie naiwnością, gdyż najnowsze zdobycze, jakie przyrodzie wydrzeć zdołaliśmy, tej właśnie pom-

pie powietrznej mamy do zawdzięczenia, gdyż cudowności, jakich uczeni przed niespełną 300 lat ujrzyć nie mogli, nam dopiero w całej pełni okazały się i doprowadziły naszą wiedzę do takich wyników, o jakich się uczonym jeszcze z przed dziesięciu lat nie śniło, a które muszą każdego przejąć najzywszem zdumieniem.

Wszyscy wiemy, jak ważnym instrumencem jest mikroskop w rękach przyrodnika; odsłania on oku ludzkiemu światy całe niedostępne dla oka nieuzbrojonego, okazuje budowę tkanki roślinnej [lub zwierzęcej, wtajemnicza nas w życie tego najprostszego ustroju, jakim jest komórka, zdawaćby się więc mogło, że używając odpowiednio silnych szkieł powiększających, możnaby poznać nawet budowę materji danego ciała.

Płonne żądanie—powiększenie jakie można uzyskać mikroskopem, ma swoje granice, o budowie materji instrument ten nam nic nie powie, materja każda z wyjątkiem ciał dziurkowatych, jak cegła, kreda, przedstawia się w nim jako jednolita masa; jakichś drobin, czy atomów ani śladu.

Że jednak materja nie jest jednolitą masą, ale składać się musi z drobnutkich cząsteczek, o tem przekonują nas liczne zjawiska: ciała zmieniają swój stan skupienia, ze stałych przechodzą w ciekłe, z ciekłych w lotne; do wytworzenia tych zmian trzeba podwyższenia temperatury ciała, czasem jednak wystarcza także samo obniżenie ciśnienia, tak że w rezultacie ciało lotne zajmuje o wiele większą objętość, niż ciało stałe, z którego powstało.

Tego powiększenia objętości inaczej nie można sobie wytłumaczyć, jak tylko w ten sposób, że materja ciała we wszystkich stanach skupienia składa się z niesłychanie małych ciałek, cząsteczek, które jednak nie stykają się ze sobą, lecz utrzymują się w pewnym oddaleniu i że powiększenie objętości ciała nie pochodzi z napęcznienia cząstek pod wpływem ciepła, lecz ze zwiększenia oddaleń międzycząsteczkowych, a to znów jest następstwem wzmożonego ruchu drgającego tych cząsteczek, wywołanego podwyższeniem temperatury.

Im większa objętość ciała, tem dalej od siebie cząsteczki, tem luźniej ze sobą powiązane, tem swobodniejsze w swoich ruchach, aż gdy wresz-

cie materja jest w stanie lotnym, cząsteczki te poruszają się we wszystkich kierunkach, swobodnie, jak rój pszczół w ulu, uderzając jednak wciąż o siebie i o ściany naczynia.

Łatwo teraz zrozumieć, że gdy chcemy czynić studja nad materją, musimy poznać cząsteczkę, jej wielkość, masę, szybkość z jaką się porusza ale i to zrozumieli, że najłatwiej to czynić wtedy, gdy cząsteczka jest swobodna, niezależna od innych, gdy ciało jest w stanie gazowym.

W gazie, przy zwyczajnem ciśnieniu, cząsteczki jeszcze ulegają zderzeniom, ale gdy stopniowo przestrzeń jakąś zamkniętą opróżnić będziemy z gazu, to cząsteczek będzie tam coraz mniej, a więc coraz mniej będzie zderzeń, coraz dłuższą drogę odbywać może cząsteczka nie zderzając się z inną, coraz jest swobodniejsza.

Możnaby przypuścić także, że i prędkość z jaką cząsteczki się poruszają, będzie większa; gdyby to było prawdą, to w przestrzeni gazu rozrzedzonego prawie do ostatecznych granic musiałyby mieć cząstki ogromną prędkość, zbliżoną może do prędkości światła, mogłyby więc zacząć świecić albo przez uderzenia o siebie same, albo o ściany naczynia.

Przypuszczenie to wypowiedział już w r. 1809 Davy, który miał dość fantastyczne poglądy na materję. Pokazuje się przecie, że przypuszczenie to jest mylne, bo w rzeczywistości nawet w najdoskonalszej próżni nie można zauważyć żadnego świecenia, cząsteczki zatem nie mają tej ogromnej prędkości, jaka do świecenia byłaby potrzebna.

A jednak z łatwością można doprowadzić gaz do świecenia; wystarczy bowiem przepuszczać przez gaz iskry elektryczne, a zobaczymy wtedy pewne zjawiska, z których wnioskujemy, że cząsteczki gazu muszą się poruszać z ogromną szybkością.

Tylko zwrócić należy uwagę na to, że zjawiska te zależne są w wysokim stopniu od rozrzedzenia, a nadto zależne są one od gazu, jaki w rurze gazu rozrzedzono, bo każdy gaz daje sobie właściwą barwę iskier przeskakujących przez przestrzeń nim wypełnioną.

Zjawiska te znane od kilkudziesięciu lat, nie były na razie należycie

ocenione, rurki Geisslera, Crookes'a, promienia Röntgena, to są rzeczy, które dziś w szkole uczniom się pokazuje i które wogóle nie wywołują już wielkiego u widzów zdziwienia, a niedoceniono tu jednego, bardzo zresztą skromnego zjawiska, że jeszcze w rurkach Geisslerowskich okazuje się wybitnie wpływ gazu na barwę promieni, podczas gdy w rurkach Crookesa, w których rozrzedzenie jest jeszcze znaczniejsze, natura gazu nie ma już żadnego wpływu na zjawiska świetlne, wszystkie gazy zachowują się w tem rozrzedzeniu zupełnie tak samo, gaz stracił swoje charakterystyczne cechy, przestał tem być, czem był przedtem, zanim go do tego stopnia rozrzedzono.

Davy nie umiał wytworzyć takiego rozrzedzenia, nie znał zjawisk towarzyszących iskrze elektrycznej w rozrzedzonych gazach, ale proroczym duchem wiedziony przewidział, że gaz w tem rozrzedzeniu musi znajdować się w nowym stanie skupienia, który nazwał „czwartym stanem skupienia ciał“; musi się znać materję w tym stanie rozrzedzenia będącą, jak także Davy nazywał „materję promienistą“, za materję pierwotną, pramaterję, jedną i jedyłą, z której wszystkie inne rodzaje przez różnego stopnia zagęszczenie powstały.

Dziwny to wyriek rozumowania, zapowiada on zupełny przewrót naszych dotychczasowych pojęć, bo niezapreczone fakty nadwątlili bardzo naszą dotychczasową wiedzę o materji; to, do czego alchemicy przeszłych wieków napróżno dążyli, co wczoraj uważaliśmy za głupotę, temu dziś nie tylko nie przeczymy, ale doświadczeniem potwierdzamy, że pierwiastki, ciała dotąd chemicznie nie dające się na coś prostszego rozłożyć, mogą zmieniać się, jedne w drugie i jeśli nie umiemy jeszcze siarki, czy rtęci, czy ołowiu przerabiać na złoto, to choć nie można powiedzieć, że to kiedyś człowiek zdoła uczynić, przecie, na pewne twierdzić nie można, że to jest niemożliwe — wszak znamy już pramaterję.

Pokazuje się tu, że wiedza przyrodnicza wczorajsza, nie jest dzisiaj, że zbankrutowała wiedza dotychczasowa, aby tem lepiej rozwinąć się mogła wiedza przyszła, aby tem bliżej stanęła prawdy, jedyne go celu, do którego dąży.



Świat wiedzy.

Pożytek z białych myszy. Jak pożytecznymi na świecie mogą być najmniejsze nawet stworzonka, dowiadujemy się z pism angielskich. Oto, ponieważ białe myszy odznaczają się nadzwyczaj delikatnym powonieniem, a szczególnie czułe są na zapach nafty, przyprowadzając je do kaszlu i kichania, przeto angielscy oficerowie łodzi podwodnych, poumieszczali w każdej z nich po kilka myszy, aby w ten sposób na sygnał mysi załoga mogła być w czas uwiadomiona, że z maszyn dobywają się szkodliwe gazy. Czworonożne dozorczyńce pełniły doskonale swą służbę. Skoro jednak admiralicja dowiedziała się o tem, jednym pociągnięciem pióra powypędzała je z ich podwodnych domków. Wkrótce jednak po wypędzeniu owych niesystemizowanych pomocników załogi okrętowej, zdarzyło się, że jedna łódź pierwszy raz popłynęła bez myszy pod wodę i uległa zaraz katastrofie. W dziale maszyn nagromadziły się bowiem gazy naftowe i wszyscy żołnierze obsługujący maszyny pomdlieli. Nieszczęście spostrzeżono dopiero w ostatniej chwili, z trudem ogromnym zdołano zamknąć ujście gazów, a omalutych żołnierzy ledwie uratowano. Chwila później — a byłaby cała załoga padła ofiarą gazów, a łódź poszłaby na dno. Wypadek ten przywrócił znowu białe myszki do służby okrętowej — już z wiedzą admiralicji angielskiej.

Rybołówstwo przez telefon. Nikt nie przypuszczał chyba aby kiedyś telefon mógł być pomocnym przy — połowie ryb. Właśnie ostatnimi czasy w Norwegii poczęto się nim przy tej czynności posługiwać. Bardzo czuły mikrofon umieszczony w pudle stalowym, hermetycznie zamkniętem, łączy się drutem elektrycznym z telefonem, umieszczonym na łodzi rybackiej. Aparat ten zawiadamia natychmiast rybaka o zbliżeniu się ryb, o ich ilości, a nawet jakości. I tak n. p. przy zbliżaniu się śledzi rybak słyszy coś w rodzaju gwizdania. Inne ryby wywołują także różne dźwięki charakterystyczne, które wprawne ucho rybaka potrafi zawsze odróżnić. Różnorodność dźwięków powstaje wskutek tego, że każdy gatunek ryb inaczej porusza pletwami. Z siły dźwięku może rybak wnioskować o ilości i wielkości ryb. W miejscu owem, które wskazał telefon, zarzuca się sieci i połów do niedawna żmudny i wiele wymagający czasu, staje się o wiele szybszy i łatwiejszy.

Dyfteryt a koty. Ogólnem dotychczas było mniemanie, że dyfteryt jest wyłącznie przywilejem ludzi. Tymczasem najnowsze badania wykazały, że choroba ta występuje epidemicznie i u kotów i nieraz nawet z nich przenosi się na ludzi. Dr. Karliński w Bośni miał sposobność stwierdzić epidemię dyfterji u kotów rasowych, które sam hoduje i z których wiele na tę chorobę padło. Przeprowadził on badania z całą ścisłością naukową, dokonał sekcji zdechłych kotów, szczepił naloty dyfteryczne z gardła kotów i wyhodował sztucznie właściwe dla dyfterji prątki Löfflera. Wzeszłym roku obserwował dr. Karliński w Tesanji epidemię dyfterji u ludzi; nie mogąc jednak zrozumieć jej powstania. Wkrótce przekonał się, że w tej samej miejscowości grasowała wśród kotów jakaś zabójcza zaraza, która przy szczegółowem badaniu okazała się dyfterją. Ponadto stwierdził dr. K. że w Tesanji zawsze epidemię dyfterji u dzieci poprzedza śmiertelna zaraza u kotów, która niczem innym nie jest jak dyfterją, a nawet w pewnych wypadkach udało mu się udowodnić że dyfterja z kotów przeniosła się na dzieci. Wobec bardzo częstej epidemii dyfterji i w naszym kraju, należałoby zwrócić baczniejszą uwagę na owych ulubieńców dzieci i nawet starszych osób i nie dopuszczać ich w zasadzie do tyłu łask, jakimi zwykle cieszą się ci przypuszczalni krzewiciele zarazy.

Twórca barometru. Wielką uroczystość obchodzić będzie w tym roku d. 15 października, świat naukowy a w szczególności miasta Faenzy i Florencja. Oto w tym dniu przypada 300-tna rocznica urodzin nieśmiertelnego twórcy barometru — Toricellego. Był on uczniem Galileusza ale zmarł jeszcze przed swoim mistrzem w 30 roku życia we Florencji. Przyczyną tak wczesnego zgonu były suchoty. Z rozkazu wielkiego księcia pochowano go w krypcie kościoła San Lorenzo, obok grobowców wielkich książąt toskańskich. W r. 1865 jednak na skutek rozporządzenia rządu włoskiego, śmiertelne szczątki wszystkich „mniej sławnych nieboszczyków“ zostały usunięte ze sklepień kościelnych i zamurowane. Do tych właśnie mniej sławnych zaliczono wówczas we Włoszech i Toricellego. Usiłowania w ostatnich czasach odnalezienia i stwierdzenia tożsamości śmiertelnych szczątków wielkiego fizyka nie doprowadziły do niczego i szczątki te spoczywają nadal wraz z dwunastu innymi szkieletami w wielkiej zamurowanej skrzyni dre-

wnianej. Choć śmiertelne szczątki nie doczekały się godnego grobowca, imię Toricellego okryło się sławą nieśmiertelną.

Nadzwyczaj cenne wykopaliska dają prowadzone obecnie badania archeologiczne w Kijowie, w obrębie cerkwi Diesiątinniej. Również badania geologiczne Kijowa dokonywane od r. 1893 - 1905 dostarczyły niezmiernie cennych zabytków z czasów na jakie 50—100 tysięcy lat wstecz. Niektórzy uczeni przypisują zabytkom tym nawet i dwa razy wyższy wiek. Z wykopalisk owych dowiadujemy się że niezmiernie okolice nad Dnieprem miały niegdyś klimat bardzo ciepły, rosły tam palmy i cyprysy, a żyły zwierzęta spotykane dziś tylko w strefie gorącej, jak lwy, słonie, nosorożce, hyeny itp. Wogóle kraj ten stanowi nieprzebrane źródła dla uczonych badaczy.

Zegarek, jakiego jeszcze nie było. W Niemczech pojawiły się obecnie niezmiernie ciekawe słoneczne zegarki kieszonkowe. Mimo, że posiadają one pewne zalety, mianowicie nie stają, nie trzeba ich nigdy nakręcać i są o wiele tańsze od mechanicznych, trudno jednak uwierzyć, by znalazły szersze zastosowanie. Nowy ten instrument ma wielkość i kształt zwykłego zegarka kieszonkowego i tarczę z podziałkami zegara słonecznego. Do orjentowania się służy wprawiony w tarczę kompas, rolę wskazówki zaś odgrywa nitka, tkwiąca jednym końcem w tarczy, w miejscu, w którym zbiegają się promienie godzinne, drugim zaś końcem przymocowana jest do wewnętrznej strony ochronnej koperty. Gdy więc kopertę zegarka się otworzy, nie napręży się, a cień jej, przy właściwem ustawieniu cyferblatu t. j. skoro wskazujący północ, koniec igły magnetycznej stoi na 12, wskaże właściwą godzinę, naturalnie o ile świeci słońce. W nocy jednak nie może oddać żadnej usługi i to z pewnością zadecyduje o jego losie.

Biała tęcza. Niezwykłe zjawisko oglądano niedawno wśród nocy w Galicji południowo-wschodniej, w okolicach Czortkowa. Po przejściu ogromnej burzy z grzmotami, błyskawicami i gradem ukazał się nagle około godziny 11 w nocy na zachodniej stronie nieba łuk tęczowy na chmurach oświetlonych światłem księżyca. Niezwykła ta tęcza nocna była jasna i biała, bez barw, jakie ma zawsze znana tęcza słoneczna za dnia.

Najmilsza jagoda. W angielskim tygodniku „Lancet“ czytamy dłuższe studjum o jednej z najbardziej ulu-

bionych jagód — poziomce. Posiada ona ciekawe właściwości, stwierdzone badaniami lekarskimi. Dzięki oddziałowaniu zawartych w soku poziomkowym pierwiastków, na twardo ugotowane białko rozpuszcza się, gdy je poddamy pod działanie tego soku. Wogóle sprzyja on bardzo trawieniu, a podobne mu właściwości i substancje posiada surowy sok i wielu innych owoców. Chorzy, którym nie wolno spożywać cukru pod jakąkolwiek postacią, mogą śmiało jeść poziomki, gdyż cukier w nich zawarty nie działa szkodliwie. Nie stwierdzono jeszcze dotychczas, czy poziomki działają zbawiennie w podagrze, to jednak pewne, że zawierając wiele soli alkalicznych, oczyszczają krew. Są więc doskonałym środkiem na skorbut. Poza temi dodatnimi własnościami, ma i poziomka swoje ujemne, nie leżące jednak w samej jej istocie, a więc dające się łatwo usunąć. Jako rosnąca tuż przy ziemi, łatwiej niż inne owoce, może przynieść chórbobotwórcze zarazki, a leśne przedstawiają jeszcze to niebezpieczeństwo, że są najczęściej zbierane brudnymi rękami; należy przeto zawsze poziomki oplukać starannie. Poza tem mimo, iż u pewnych osobników wywołują po spożyciu, choćby tylko kilku jagód, wysypkę, nie przedstawia poziomka żadnych stron niebezpiecznych.



Z PRASY ROSYJSKIEJ.

Przebudzenie się Wschodu.

Były gubernator Turkiestanu, usunięty potem za „nieprawomyślność“, gen. Suboticz, rozpoczął w „Rieczy“ ciekawy szereg artykułów p. t. „Odgłosy i uwagi“ („Otkliki i zamietki“). Z powodu ostatnich wypadków w Persji i Turcji powiada on między innymi:

„Wschód starego świata przeżywa obecnie ten sam proces historyczny, jaki przeżył w pierwszej połowie zeszłego wieku Zachód. „Konstytucją“, jako dążenie do politycznego wyzwolenia i samookreślenia, staje się „religią“ mas ludowych, albo raczej ich wciąż rosnącej świadomej części.“

Ruch ten musi, zdaniem autora, skończyć się zwycięstwem. To przebudzenie się Wschodu stanowi poważny „kryzys w dziejach świata“. Cały Zachód będzie musiał uciec się do „innego sposobu życia“, bo

polityce zawojowań i wyzysku będzie kres położony. Przebudzenie się świata muzułmańskiego ma ogromne znaczenie dla Rosji, daleko większe niż wypadki w Japonji. Według statystyki urzędowej, państwo rosyjskie liczy 15 milionów mahometan, autor zaś sądzi, że jest do 20 milionów. W 4-ch gubernjach Rosji Europejskiej mahometanie stanowią przeszło 1/3 ludności, na Kaukazie w 9 gubernjach Turkiestanu i Kraju stepowego muzułmanie stanowią z górą 90 procent ludności. Te 9 prowincji równają się co do obszaru całej Turcji europejskiej i azjatyckiej, co do ludności dorównują niemal Persji. Przyszłość takiej „posiadłości“ nie może być obojętną dla patrioty rosyjskiego. Powstaje pytanie:

„Co będzie, co może się stać z tą rozległą „posiadłością państwa rosyjskiego“, gdy w sąsiedztwie wytworzą się dwa potężne ciała państwowe z jednowiernych odrodzonych i odnowionych Turcji i Persji. Czy nie powstaną nowe ciężenia, grożące nieuniknionem orderwaniem się?“

Przed 2 i pół laty, obejmując urząd generał-gubernatora Turkiestanu autor sądził (i sądzi dzisiaj), że „najpewniejszym sposobem uniknięcia grożącego w przyszłości niebezpieczeństwa jest dać ludności miejscowej stanowcze zapewnienie, że będzie ona uczestniczyła w odnowionem i odrodzonym życiu państwem obok i na równi ze wszystkimi poddanymi Monarchy rosyjskiej“.

I takie zapewnienie autor dawał, ale w 1 1/2 roku potem

„ogłoszono ustawę z dn. 3 (16) czerwca i 10 milionów ludności Turkiestanu i Kraju stepowego dowiedziało się, że żadnego „uczestnictwa“ w nowym ustroju mieć nie będą, gdyż pozbawiono ich prawa wybierania posłów do Dumy, że wreszcie ustrój odnowiony jest nieco innym, niż się to wydawało z początku. Dowiedzieli się, że się grubo omylił. Ale być może, okaże się potem, że ktoś inny popełnił tu omyłkę jeszcze większą, omyłkę nie do przebaczenia.“

W kąpieli.

Przestrzegi na czasie.

Bardzo na czasie będzie przypomnienie, jakie to ostrożności zachować

należy, chcąc bezkarnie korzystać z dobroczynnego wpływu wody w czasie kąpieli i pływania.

Otóż wedle starych, a wypróbowanych przepisów, nie powinno się wskakiwać do wody zgrzanym; trzeba czekać, aż ciało ostygnie, a płuca i serce się uspokoją. Wielu o tem słyszało — nie zawsze jednak sami idą według tej wskazówki. Niebezpieczny ten krok udać się może w licznych wypadkach, aż wreszcie przyjdzie kres; opłacić trzeba lekko-myślnością chorobą lub nawet śmiercią. Trzeba bowiem wiedzieć o tem, jaki wpływ ma na ciało ludzkie zimna woda.

Pod jej działaniem kurczą się naczynia krwionośne, krew spływa ku organom wewnętrznym, przez co utrudniona jest w pierwszej chwili działalność płuc i serca. Do tego dodać należy nagłe podniecające działanie oziębienia na nerwy, co się objawia chwilowym zatałowaniem oddechu i zatrzymywaniem czynności serca.

Najlepszy nawet pływak może w takiej chwili doznać zawrotu głowy, następnie omdlenia, wskutek czego zaczyna tonąć i ginie, jeśli nie znajdzie się natychmiastowy ratunek.

Wielkiem niebezpieczeństwem też grozi używanie kąpieli przy pełnym żołądku. Wolno dopiero w parę godzin po spożyciu posiłku obitego wejść do wody. Podczas pływania oddychamy bowiem zupełnie inaczej, niż chodząc lub siedząc. Wskutek ucisku jaki wywiera woda na klatkę piersiową, wciąganie powietrza jest bardzo utrudnione, gdy przeciwnie wydychanie łatwiejsze. A właśnie pływający musi oddychać głęboko, ponieważ muskuły jego pracują intensywniej.

Gdy więc żołądek jest przeładowany, to miejsce wewnątrz ciała, przeznaczone do oddychania, znacznie się zmniejsza i oddychanie jest utrudnione. Ponadto przy pływaniu gazy znajdujące się w kiszkach, wywierają ucisk na obładowany żołądek i pchają go ku błonie poprzecznej dzielącej go od jamy piersiowej, co jeszcze bardziej zmniejsza przestrzeń w klatce piersiowej i osłabia działalność muskułu błony brzusznej, pomocnego przy oddychaniu. Wobec tego pływający traci zupełnie oddech i nie jest nawet w stanie dobyć z siebie głosu, aby wezwać pomocy.

Wskoczenie do wody z przeładowanym żołądkiem może też spowodować śmierć natychmiastową; w najlepszym zaś wypadku powoduje ból głowy, zaburzenia w trawieniu, w na-

stępstwie chorobę tego lub innych organów.

Objawy, o których poprzednio mowa, występują tak szybko, że tonący nie może sobie z nich nawet zdać sprawy, a już czycha nań zagłada. Nie dziwne to, gdy się weźmie pod uwagę, że płynąc, oddychamy o 50 procent szybciej, niż w stanie spokoju, i że trudniej złapać oddech będąc w wodzie, niż na powietrzu.

Dawniej nagłe wypadki śmierci w kąpielni objaśniano apopleksją, i rzeczywiście ulegają jej łatwo w kąpielni ludzie skłonni do niej; najczęściej jednak opisane powyżej przyczyny powodują zgon.

Pozatem i inne jeszcze niebezpieczeństwa grożą nieostrożnym pływakom.

Zbyt ufni w swoją siłę i zęczność puszczają się na nieznaną im wcale wodę i bywają wypadki, że dostawszy się nagle w wir, giną momentalnie. Pewien pływak skacząc głową na dół, w niegłębokim miejscu utknął nią w namule, który go zadusił; inny zaś nie zbadawszy wpiersz tereanu, wbił się na pal, skacząc ze znacznej wysokości.

Wogóle wskakiwanie do wody z miejsc wysokich jest niebezpieczne, gdyż skutek wielkiego naporu powietrza na organy słuchowe, mogą pęknąć bębni, czego następstwem jest nieuleczalna głuchota.

Często się zdarza, że najostrożniejszy człowiek dostanie się nagle na głębinię nie umiejąc pływać. W takich wypadkach nie należy tracić przytomności, ale z całym spokojem myśleć o ratunku. Przedewszystkiem stać spokojnie unosząc, głowę do góry. Ręce trzeba trzymać wzdłuż ciała pod wodą, lub wyciągnąć w tył powyżej głowy, gdyż wtedy ciało przybiera pozycję horyzontalną, a twarz wynurza się ponad wodę. Należy też jak najwięcej powietrza wciągać w płuca, wdychając głęboko a wydychając krótko. Ponieważ ciało ludzkie jest trochę lżejsze od wody, którą usuwa, przeto gdy tonący trzyma ręce pod wodą, usta i nos pozostają na powierzchni; przeciwnie zaś się dzieje, gdy ręce podniesie z nad wody. Szamotaniem się i wywijaniem rękoma przyspiesza tylko rychłe zatonięcie.

To i owo.

Korzystny i zdrowy zawód. Obecny prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt, po ustąpieniu z urzędu zajmie się napisaniem książki o amerykańskich przygodach myśliwskich. Za książkę tę wydawcy ofiarowali mu już 12.000 funtów, czyli na nasze pieniądze 115 tysięcy rb. Mimo znacznej swej wysokości nie jest jednak owo honorarium najwyższem. Gibbon za swoją książkę o upadku państwa rzymskiego otrzymał 10.000 funtów (96.000 rubli). Macanlay za swoją część w „Historji Anglii“ 20.000 (192.000 rubli.); za książkę „Dawid Harum“ zapłacono 25.000 funtów. Popularne opowiadanie mrs Rice „Mrs. Wiggs i ogród kapuściany“ przyniosło 20.000 funtów, co czyni około funta za każde słowo. Powieść i dramat „Mały kaznodzieja“ przyniosły autorowi 40.000 funtów (384.000 rubli.) a „Pamiętniki generała Grauta“ 100.000 f. czyli 960.000 rb. I francuscy autorowie zarabiają nieraz niemało. „Nana“ przyniosła Zoli w wydaniu książkowym 200.000 franków, co razem z honorarium dziennikarskiem wynosiło najmniej ćwierć miliona. Najlepsze jednak zarobki mają autorowie i kompozytorowie oper i operetek. „Dzwony kornewilskie“ przyniosły Planquetowi półtora miliona franków, a o zyskach Rostanda z „Cyrana de Bergerac“ można mieć wyobrażenie, jeśli się zważy, że miał on w książce 380 wydań, co przyniosło autorowi 380.000 franków; honorarja od przedstawień wyniosły kilkanaście razy tyle, gdyż francuscy autorowie dramatycy mają tak wyborną organizację, że ściągają tanytemy nawet za sztuki grane w lada dziurze prowincjonalnej. Zawód literacki, jak widzimy, jest nieraz bardzo korzystny, a według przekonania „Figaro“ bardzo zdrowy i wpływający znakomicie na przedłużenie życia. Wniosek ten wyprowadza „Figaro“ z następujących danych: W gronie członków „Société de gens de lettre“ jest wielu członków bardzo starych, o których sławie, co prawda, Francja dziś już nie wie. Na czele stoi Feliks Fertimault, liczący 95 lat, Franciszek Nadok 88, Juljusz Braynat i Ernest Faraudier urodzili się w roku 1821. Armand Lafrouitre i Fryderyk Passy w r. 1822. Pozatem jest czterech członków urodzonych w r. 1824.

Córki stepów. Wszystkie dotychczasowe pomysły niezrównanych podwzglem ekscentryczności amerykańek, ustąpić muszą przed najświeższym; o którym szeroko rozpisyje się „Monde moderne“ w ostatnim zeszyście. Znani są powszechnie „cowboye“, meksykańscy „vagueros“, argentyńscy „gauchos“: ich śladem poszły teraz dziewczęta amerykańskie i stają się „cowgirls“. Wychowane troskliwie w kolegiach kobiecych w Chicago, St. Louis lub innych, wielkich środowiskach ukończywszy nauki, zaczynają tęsknić, urodzone na nieprzejranych stepach amerykańskich, córki farmerów za swobodą olbrzymich przestrzeni, za rozkoszą życia in jak morze dalekich preryach i — zostają „cowgirls“. Zawód to jednak nie łatwy; wymaga przygotowania długiego, a po-

za doskonałością w jeździe konnej, konieczne jest osiągnięcie mistrzostwa w rzucaniu lassa. Przed żadnym jednak trudem nie cofa się odważna jankeska, pokonywa wszystkie trudności, a największą dla niej nagrodą — zdobyte odznaczenie na wielkim karnawale cowbojów, który odbywa się w Cheyenne każdego roku.

Ł A M I G Ł Ó W K A

ułożył E. H.

Gwiazdki i kółka zamienić na litery, utworzyć 16 wyrazów, litery oznaczone gwiazdkami, czytane z góry na dół, złożą przysłowie polskie.

```

* 0 0 0 0 0 0 0 *
* 0 0 0 0 0 0 0 *
  * 0 0 0 0 0 *
    * 0 0 0 *
      * 0 0 0 0 *
        * 0 0 0 0 *
          * 0 0 0 0 *
            * 0 0 0 *
              0 * 0
                0 * 0
                  0 0 0 * 0 0 0
                    0 0 0 0 * 0 0 0 0
  
```

ZNACZENIE WYRAZÓW.

1) Powóz; 2) Miasteczko w pow. Humaniskim; 3) Osada w gub. Tobolskiej; 4) Poeta polski; 5) Pierwiastek chemiczny; 6) Nazwa choroby; 7) Agitator i patrijota włoski; 8) Bożek grecki i ptak; 9) M. we Francji; 10) Widziadło senne; 11) Imię męzkie; 12) Rzadki metal; 13) Liczba; 14) Bandera; 15) Urząd dworski w Polsce; 16) Hetman polny litewski za Zygmunta III go.

ZNACZENIE ŁAMIGŁÓWKI

ZAMIESZCZONEJ W Nr. 27 „ZIARNA“.

»Kochanowski«.

Dobre rozwiązanie nadesłali p. p. Zofja Deresiewiczowa ze Świdra, Stanisława Żelazowska z Grodziska, Marja Kochanowska z Łucka, Aniela Bełdowska z Petersburga, Fel. Kaściński z Koziatyna, Józef Łącki z Siedlec, Al. Słezak z Zawiercia, Józef Dukat ze Skotnik, St. Borowski z Moskwy, Adam Dobry z Częstochowy, K. Wierzchucki z Wyrozęb.

ODPOWIEDZI „ZIARNA“.

„Medykowi“. 1) Pod tym względem najwyżej stoi uniwersytet paryski; 2) Miasta belgijskie i szwajcarskie, po nich dopiero Paryż; 3) Skazany został na śmierć, lecz ma być utaskawiony.

Zwracamy uwagę na podręcznik „Samouczek“ Pl. v. Reussnera, zob. ogłoszenia na str. ostatniej.